

Marta Dobrowolska-Kieruł

Bieleński wehikuł czasu



ILUSTRACJE Agnieszka Korfanty

WARSZAWA 2016



Drodzy młodzi Mieszkańcy Bielania!

Z przyjemnością oddaję w Wasze ręce najnowszą książkę o naszej dzielnicy, przygotowaną specjalnie z myślą o Was. Każdy z nas, niezależnie od wieku, lubi ciekawe historie. Dlatego opowiemy Wam o Bielaniach przez pryzmat przygód czworga przyjaciół – Waszych rówieśników: Piotrka, Hani, Leny i Michała.

W naszej dzielnicy jest wiele pięknych, a także ważnych historycznie miejsc. Zapewne część z nich znacie, ale na pewno są i takie, których jeszcze nie odkryliście. Z każdym miejscem opisanym w tej książce wiąże się bardzo ciekawa opowieść. Czy wiecie, dlaczego słoń jest symbolem Bielania, a Bielania nazwano Bielaniami?

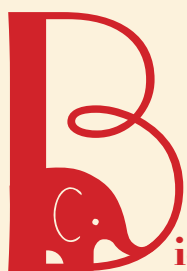
Zachęcam, abyście odwiedzili opisane przez nas miejsca na Bielaniach.



Z pozdrowieniami

Tomasz Mencina

*Burmistrz Dzielnicy Bielania
m.st. Warszawy*



Bielany – moja nowa mała ojczyzna

— Od teraz jesteśmy pełnoprawnymi mieszkańcami Bielani! – powiedziała mama, wchodząc do domu. Wróciła z **URZĘDU DZIELNICY**, gdzie załatwiała różne sprawy, bo właśnie wprowadziliśmy się do nowego mieszkania.

— Muszę przyznać, że bielańscy urzędnicy są bardzo mili.

— A my wygraliśmy dziś puzzle! – wykrzyknęła w odpowiedzi Hania, moja siostra bliźniaczka, pokazując nagrodę, którą dostaliśmy w szkole za udział w konkursie.

— Odłóżmy je na razie. Zajmiemy się nimi po kolacji. Najpierw musicie doprowadzić do porządku swoje pokoje – odezwał się tata.

Jeszcze jakiś czas temu mieliśmy z Hanką wspólny pokój i mieszkaliśmy w Śródmieściu. A potem wielka ciężarówka przewiozła ze starego mieszkania nasze meble, książki, zabawki i wszystkie inne rzeczy na Bielany. Po kolacji wspólnie ułożyliśmy puzzle. Kolorowy obrazek przedstawiał mnóstwo różnych budynków oraz parki i inne miejsca, jakie można odwiedzić na Bielanych.

— Oto podpowiedź, od czego zacząć poznawanie naszej nowej małej ojczyzny – ucieszyła się mama.

— Bielany nie są moją ojczyzną, nawet małą! – zaprotestowałem. – Uważam, że ojczyzną może być tylko miejsce, z którym człowiek jest związany.

— Masz rację – poparł mnie tata. – Ale jestem pewien, że za jakiś czas ta dzielnica stanie ci się bliska. Już niedługo poznasz okolicę, znajdziesz kolegów i ani się obejrzyś, jak nie będziesz umiał wyobrazić sobie życia w innym miejscu.

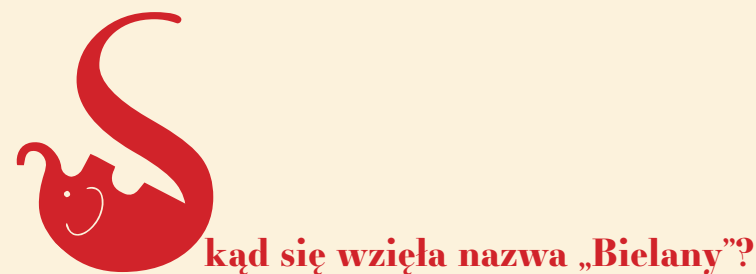
Znów spojrzałem na obrazek leżący na stole. Tyle było na nim szczegółów. Patrzyłem na wszystko z niedowierzaniem. Gdzie myśmy się przeprowadzili? Czy naprawdę na Bielanych tak po prostu wchodzi się do lasu i spotyka sarnę? Albo bawi nad stawem? Przecież jesteśmy w mieście! A swoją drogą ciekawe, czy można



wejść do Huty i zobaczyć, jak wygląda w środku?
Albo dlaczego ulica Płatnicza może być interesująca?
I co może znaczyć ten dziwny znak w rogu obrazka:



Takich pytań miałem coraz więcej. Nie wiedziałem wtedy, że zanim poznam odpowiedzi, przeżyję mnóstwo niezwykłych przygód.



Kilka dni później do Hanka przyszła koleżanka z klasy – Lena Twardowska. Pierwszego dnia w nowej szkole Hania usiadła z nią w ławce i w pięć minut zostały najlepszymi przyjaciółkami w całej Vb! Tamtego dnia Lenę przyprowadził do nas dziadek. Rodzice zaprosili go na herbatę i od razu bardzo polubili.

Rodzina Leny mieszka niedaleko, w domu z ogródkiem. Jest tam strych pełen skarbów. Oczywiście tak naprawdę nie są to żadne skarby, tylko stare meble i inne niepotrzebne już przedmioty. Niektóre mają tyle lat co dziadek Leny! Podczas pierwszej wizyty znalazłem tam małego drewnianego słonia. Coś mi przypominał, ale nie wiedziałem co, więc zabrałem go ze sobą na dół.

Po obiedzie zauważyłem w pokoju naszej koleżanki takie same puzzle, jakie wygraliśmy w szkolnym konkursie. Zdjąłem je z półki i już wiedziałem, dlaczego drewniany słoń wydał mi się znajomy. Wyglądał tak samo jak ten z puzzli!

— Dziewczyny, zobaczcie! – krzyknąłem podekscytowany, stawiając słonika obok pudełka. – Widzicie to?

Lena z Hanią patrzyły zdziwione, więc wyjaśniłem, skąd mam figurkę.

— Bardzo podobny – powiedziała Hania.

— Dziwny zbieg okoliczności. Skąd się wziął na naszym strychu? – zastanawiała się Lena. I zaraz dodała:

– Pewnie jeszcze nie wiecie, że ten słoń na pudełku to symbol Bielan. Nie wiedziałam tylko, że takiego samego mamy w rupieciarni... Musiał tam leżeć od lat.

Do pokoju wszedł jej dziadek.

— O, mój słonik! – uśmiechnął się na widok drewnianej zabawki. – Myślałem, że zaginął na dobre podczas licznych przeprowadzek, a tu taka niespodzianka!

— Czy dobrze zrozumiałam, że ten słoń to herb Bielani? – zapytała Hania swoim ulubionym tonem dziennikarki rozpoczynającej wywiad w telewizji.

— Niezupełnie – dziadek Leny znów się tak ciepło uśmiechnął. – Bo herb to oficjalny znak, umieszczany na flagach czy dokumentach. A tego zwierza na nich nie znajdziecie. Ale czy ktoś z was wie, jak naprawdę wygląda **HERB NASZEJ DZIELNICY?**

Nie wiedzieliśmy. Nawet Hania, która w szkole ma same piątki i kilka szóstek. Pan Twardowski postawił



słonia na pudełku puzzli. Wziął kartkę i narysował na niej tarczę z dwoma polami, a w nich... no właśnie!

— Przepraszam, ale nie rozumiem, co król i kościół mają wspólnego z Bielanami – Hanka kontynuowała wywiad, a ja poczułem, że powietrze wokół nas zafalowało.



Potem stało się coś, czego nie umiałem wtedy wytłumaczyć. Słyszałem każde słowo wypowiedziane w pokoju, a jednocześnie byłem gdzie indziej. Dokoła siebie wyraźnie widziałem drzewa.

— Ten herb to opowieść o początkach Bielani – zaczął wyjaśniać dziadek Leny. – W tamtych czasach Warszawa była dużo mniejsza i tu, gdzie jesteśmy, znajdowały się wtedy tylko niewielkie osady z łąkami i pastwiskami. Otaczały je lasy, do których królowie lubili przyjeżdżać na polowania.

W tym momencie poczułem zapach liści i zobaczyłem króla ze śmieszną bródką i z podkręconymi do góry wąsami, pędzącego na koniu. Obok biegły dwa psy.

— Mniej więcej w połowie XVII wieku król Władysław IV Waza zaprosił w te odludne okolice pewien zakon – mówił dalej dziadek Leny. – Jego członkowie, zwani kamedułami, zamieszkali w pustelniach na Górze Półkowej nad Wisłą. Później stanął tam też kościół. Zakonnicy nosili białe habitę. Właśnie dlatego zaczęto nazywać ich samych i miejsce, w którym mieszkali, Bielanami.

— Bielanami? Czy to stąd pochodzi nazwa dzielnicy? – Skojarzenie wyrwało mnie z tego dziwnego snu,

w którym widziałem ludzi w długich białych strojach, stawiających drewniany krzyż przed kościołem.

— Brawo. Popularna nazwa zakonników stała się później nazwą całej dzielnicy. I chociaż kamedułów już dawno tu nie ma, to eremy, czyli ich domki, oraz kościół możecie odwiedzić w Lesie Bielańskim przy ulicy Dewajtis.

Wróciłem do sprawy słonia, bo nie dawała mi spokoju.

— Skąd pan ma tego słonika?

— Dostałem go w dzieciństwie. Bawiłem się na placu zabaw, gdy do mojej mamy podszedł jakiś pan. Dał jej trzy figurki: słonia, konia i żyrafę, mówiąc, że to prezent dla mnie. Bardzo się ucieszyłem, bo były to miniaturowe kopie zwierząt z placu zabaw, na które ja i moi koledzy uwielbialiśmy się wspinać. **TEN SŁOŃ**

BYŁ ATRAKCJĄ NA PLACU ZABAW W PARKU KULTURY W LESIE BIELAŃSKIM.



— Nie wiedziałam, dziadku, że jest taki park – powiedziała Lena, a ze mną znów działy się dziwne rzeczy.

Pokój zafalował. Dziadek Leny opowiadał, a ja czułem, jak grzeje mnie słońce, i słyszałem krzyki bawiących się dzieci.

— Bo już go nie ma. Oprócz słonia, konia i żyrafy były w parku zjeżdżalnia, wypożyczalnia sprzętu dla dzieci z rowerami, hulajnogami, piłkami, skakankami i różnymi grami. No i oczywiście ogromna karuzela! O, ta – dziadek Leny pokazał ilustrację na pudełku puzzli. – Często chodziłem tam z rodzicami. Dla dorosłych też były atrakcje: koncerty, tańce na specjalnym parkiecie i nawet kino na świeżym powietrzu.

— To musiało być wspaniałe miejsce! – westchnęła Hania z żalem.

— Było, ale dziś na Bielanach jest tyle placów zabaw i innych atrakcji, że nie macie na co narzekać – odpowiedział dziadek Leny. – A ja się cieszę, że od kilku lat mój słoń z dzieciństwa reklamuje różne wydarzenia organizowane przez naszą dzielnicę. Na pewno nieraz zobaczycie go na plakatach i ogłoszeniach.

— A co się stało z żyrafą i koniem? – zapytałem, dotykając drewnianego słonia.

— Zaginęły wiele, wiele lat temu. Nawet ja nie wiem dokładnie kiedy – westchnął i posmutniał.





gdzie są granice Bielan?

„Zbiórka jutro o 10.00. Gwiazdzista przy alei Armii Krajowej. Na rowerach!” – takiego SMS-a dostała Hania w pewien piątek, kilka tygodni po przeprowadzce. Oczywiście od Leny.

Ogromnie ciekawi, dokąd pojedziemy, pojawiliśmy się w umówionym miejscu grubo przed czasem, mogliśmy się więc przejechać po parku Kępa Potocka.

— Piotrek, stój! Chcę zobaczyć, co to jest – zawołała Hanka na widok kolorowych plastikowych tulipanów-gigantów stojących na trawie.

Okazało się, że to rozkładane krzeselka. Usiadłem na żółtym, moja siostra na czerwonym i odkryliśmy, że obracają się wokół własnej osi.

— Dzięki temu można o każdej porze siedzieć twarzą do słońca i się opalać! – ucieszyła się Hanka.

— Albo tyłem do słońca i czytać książkę – dodałem, a moja siostra roześmiała się.

Potem okrążyliśmy staw z niedużą wyspą pośrodku i pojechaliśmy z powrotem.

— Ciekawa jestem, dokąd prowadzi ten kanał – powie-

działa Hania, patrząc na wodę, wzdłuż której jechaliśmy chwilę wcześniej.

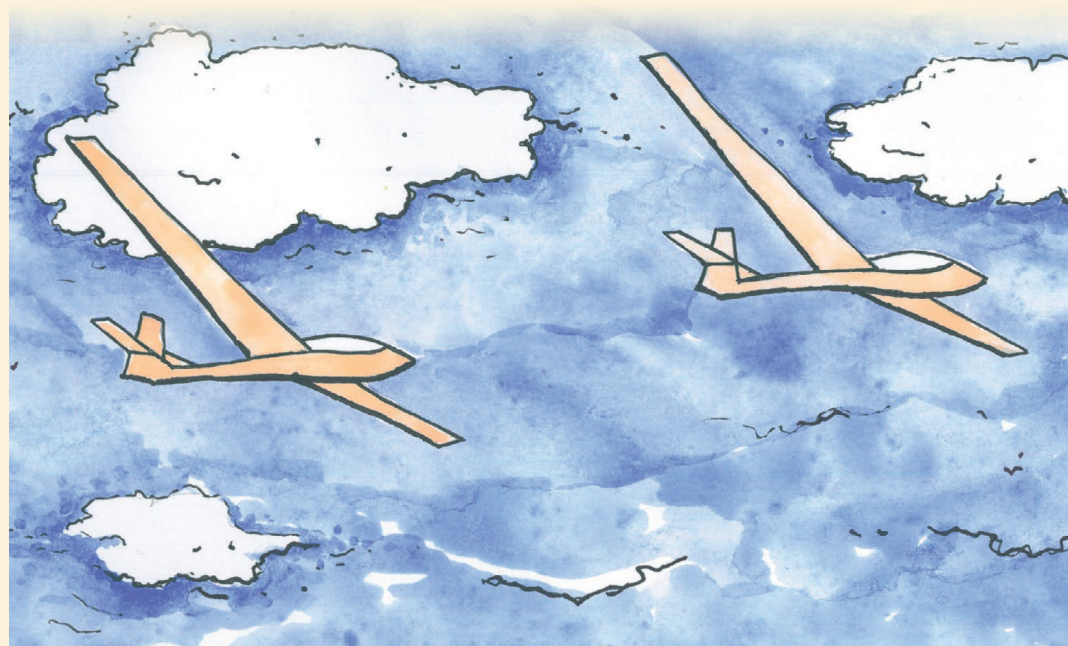
— To nie jest kanał, to starorzecze Wisły. Kiedyś tędy płynęła – podzieliłem się z siostrą zdobytą niedawno informacją.

W końcu pojawiła się Lena z dziadkiem.

— Dziadek nie chce mi powiedzieć, dokąd jedziemy – powiedziała trochę naburmuszona.

— Sprawdzę waszą domyślność – odparł pan Twardowski.

Ruszyliśmy ścieżką rowerową wzdłuż alei Armii Krajowej. Początkowo próbowaliśmy zgadywać, jaki jest cel naszej wycieczki, ale w końcu nam się to znudziło. Minęliśmy kilka osiedli, park pachnący lasem, place zabaw, aż dojechaliśmy do wąskiej piaszczystej drogi, która po chwili zmieniła się w brukowaną uliczkę, przy której stały wiejskie domki. Potem znów było parę bloków, a zaraz za nimi pole. Nad nami krążyły **SZYBOWCE**,



po lewej stronie pojawiło się lotnisko, z którego wystartował mały samolot wyglądający jak zabawka, aż w końcu wjechaliśmy w las. Tak dotarliśmy do asfaltowej drogi. Tu musieliśmy bardzo uważać, bo jeździło nią dużo samochodów. Po jej obu stronach stały domy w ogródkach, czasem minęliśmy jakiś krzyż albo kapliczkę, a potem, zupełnie nagle, ulica zamieniła się w leśną ścieżkę. Trochę po piachu, trochę po asfalcie dotarliśmy w końcu nad rzekę.

— Czy to Wisła? – spytała ze zdziwieniem Lena.

— Na pewno, ciekawe tylko, jak daleko od Warszawy – wydyszała Hania. Po kilkugodzinnej jeździe miała czerwoną twarz i była rozczochrana. – Ledwie żyję! Przejechaliśmy chyba pół miasta, potem jeszcze przez te lasy...

— Pewnie nie uwierzysz, ale my nawet na chwilę nie opuściliśmy Bielan – zaśmiał się dziadek Leny.

— Jak to?! – krzyknęła Hanka, a ja wyjąłem z plecaka mapę. Powoli przesuwałem po niej palcem.

— Jechaliśmy tędy: **ALEJA ARMII KRAJOWEJ, MACZKA, KSIĘŻYCOWA, KAMPINOSKA, ESTRADY, RĘKOPIS, WYJŚCIOWA, DZIWOŻONY**. Te ostatnie ulice to już granice Warszawy – zauważyłem zaskoczony.

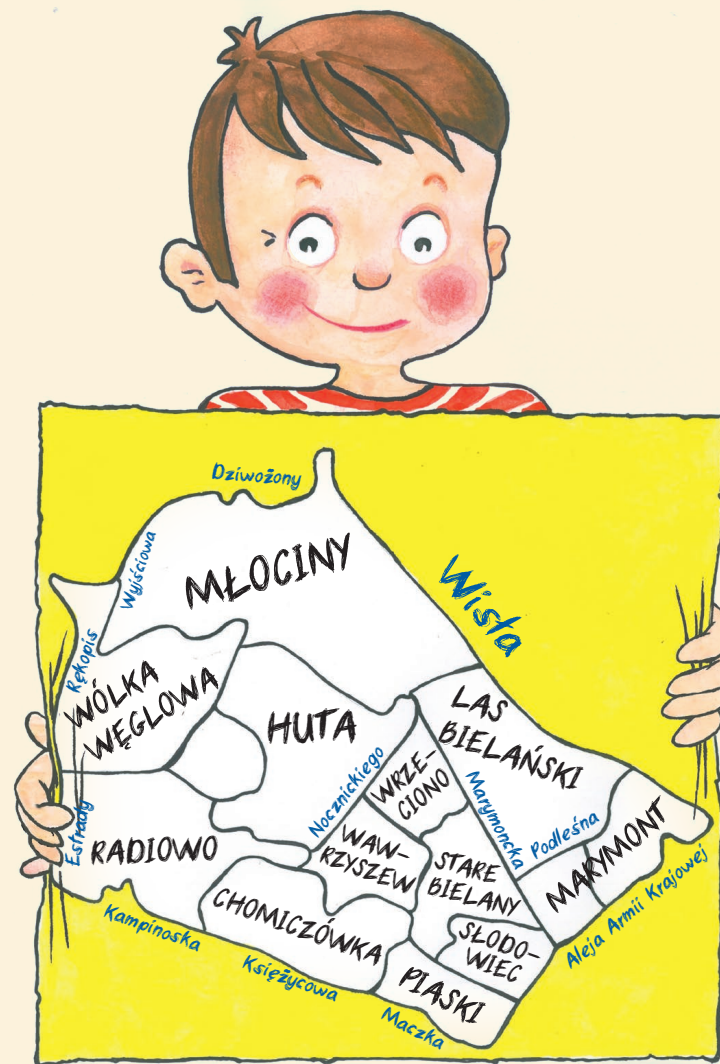
— To wspólne granice Warszawy i Bielan – poprawił mnie dziadek Leny.

— Czy to znaczy, że właśnie objechaliśmy dookoła całą dzielnicę? – domyśliłem się.

— Niezupełnie, bo został nam jeszcze ostatni fragment.

Wisła – powiedziała Lena, patrząc na mapę. – Mam nadzieję, dziadku, że nie wskoczymy teraz do wody, żeby płynąć wplaw do Kępy Potockiej.

Pan Twardowski pokręcił głową, wyjął z kieszeni słonia, którego znalazłem na strychu, i podał mi go, mówiąc:



— Należy ci się nagroda. Właśnie odkryłeś, co było celem naszej wyprawy – granice dzielnicy. A z tym słoniem przeżyłem wiele nieprawdopodobnych chwil. Może tobie też się uda.

— Strasznie wielkie te Bielany – zmieniała temat moja siostra, patrząc na mapę.

— Co ty? Wcale nie są takie duże. Mają tylko 32 kilometry kwadratowe, a największa dzielnica Warszawy ma ich aż 80 – rzuciłem i zauważyłem, że zrobiłem wrażenie na naszej koleżance.

— Skąd wiesz? – spytała.

— Gdzieś przeczytałem i pamiętam – powiedziałem niedbale. – Wiem też, że mieszka tu ponad 126 tysięcy osób, czyli więcej niż w Kaliszu albo Płocku!

— No, Piotrek, widzę, że wreszcie wzięłeś się do nauki – powiedziała moja siostra, ale nie brzmiało to jak pochwała.



rehistoria Bielani

Bardzo polubiłem mojego słonia, nie miałem jednak pojęcia, co mógłbym z nim robić. Stał więc spokojnie na półce nad biurkiem. Do pewnego popołudnia.

Hanka z Leną wpadły do mojego pokoju. Niby miały tylko coś pożyczyć, ale zamiast od razu wyjść, rozsiały się na moim łóżku.

— Chciałabym wiedzieć, kim był pierwszy człowiek na Bielanych – powiedziała moja siostra, a jej przyjaciółka bawiła się słonikiem, nucąc: „Odśłoń Bielany, odśłoń Bielany...”.





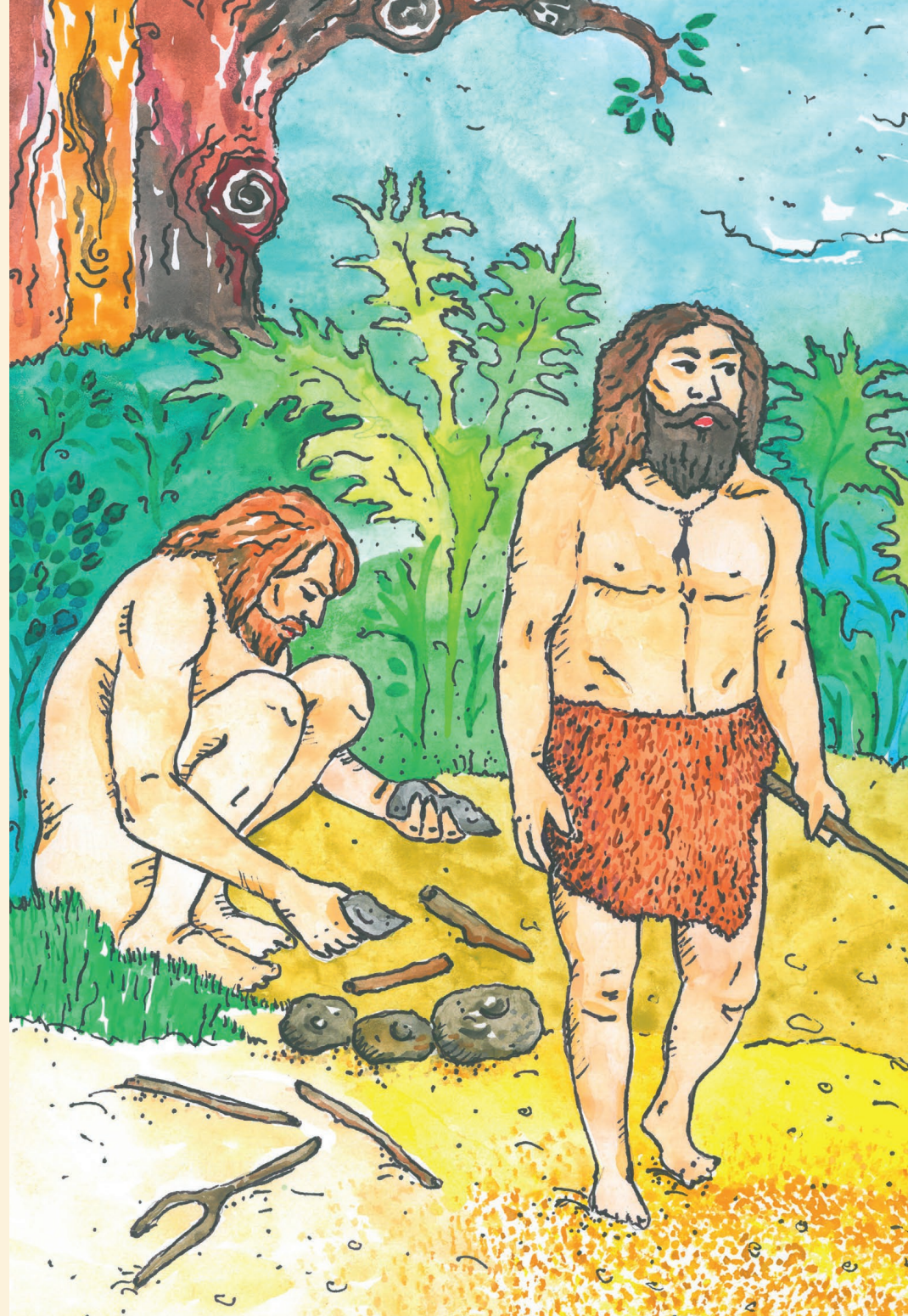
Powietrze w pokoju zafalowało, a po chwili zorientowałem się, że stoimy na wilgotnej ziemi w dość ciemnym lesie. Przed nami siedziała grupa kilkunastu dziwnych osób. Wszystkie miały długie, nieuczesane włosy, mężczyźni byli też nieogoleni. Zwisły z nich strzępy czegoś, co chyba nigdy nie było ubraniem. Przypominało kawałki futra. Poza tym nie mieli butów. Obok nich leżały łuki oraz podłużne, lśniące kamienie, które robiły wrażenie ostrych i kanciastych. Jeden z mężczyzn spostrzegł nas, podniósł kamień i rzucił w naszą stronę. Zdążyłem zauważyć, że na jego szyi wisiała na rzemyku drewniana zyrafa!

Poczułem zawrót głowy, a po chwili siedzieliśmy w moim pokoju. Początkowo myślałem, że to wszystko mi się przyśniło, ale krótka rozmowa z Hanią i Leną przekonała mnie, że to nie był sen. One widziały to, co ja! — Stało się z nami coś tajemniczego — stwierdziła Hanka. — Musimy się dowiedzieć co.

— I kim byli ci dziwni ludzie — dodała Lena.

Do wieczora szukaliśmy w różnych źródłach odpowiedzi na nasze pytania. W końcu tak to podsumowaliśmy:

1. Byliśmy w przeszłości (bardzo dalekiej).
2. Przeniósł nas tam drewniany stoł (dowód: zanim wszystko się zaczęło, nagle bardzo się rozgrzało).
3. Hasło „odstoł Bielany” pomaga się przenieść w przeszłość.
4. Dziwni ludzie to gromada łowców z epoki kamiennej!



— Żyli 10 tysięcy lat temu! I wędrowali sobie przez Europę, polując na zwierzęta! – krzyczała w podnieceniu Hanka.

— A różne pamiątki po nich znajdowano w wielu zakątkach Bielani! Chciałabym kiedyś trafić na coś takiego, a wy? – spytała Lena.

— To powinnaś zostać archeologiem – pouczyła ją moja siostra.

— Nieprawda! Zobacz, tu jest napisane, że w 1977 roku ozdobną szpilę znalazł uczeń podstawówki! Więc każdy z nas też ma szansę.

Nagle Hania roześmiała się:

— Na zawsze zapamiętam, że pierwsze nogi, które chodziły po Bielaniach, były strasznie brudne! No, ale wtedy to nie były jeszcze Bielany – dodała sprawiedliwie.



Następnego dnia chcieliśmy sprawdzić, czy nasze przypuszczenia były słuszne. Ściskając słonia, powtórzyliśmy hasło chyba z tysiąc razy, ale nic się nie działo. W końcu Lena zaproponowała przejażdżkę na Wawrzyszew. Jadąc ulicą Wergiliusza, zagłębialiśmy się w wielkie osiedle.

— Zobaczcie, tutaj chodzę na taniec nowoczesny – Lena pokazała ręką pawilon pod adresem Goldoniego 1. – To Bielański Ośrodek Kultury. Jak skończę czternaście lat, zapiszę się do grupy teatralnej.

— Byliśmy tu chyba na koncercie z rodzicami... – przypomniało się Hance, ale Lena już myślała o czymś innym.

— Słyszałam, że Wawrzyszew to bardzo stara osada. Podobno istniała już w XIV wieku.

— Jesteś pewna, że nic nie pokręciłaś? – spytałem z niedowierzaniem, przyglądając się nieufnie blokom, placom zabaw, trawnikom i parkingom. – Nic tu nie wygląda na tak stare.

— Oczywiście, że nie, bo te bloki zbudowano, kiedy

mój dziadek kończył studia. Mówił mi, że wcześniej stały tu małe drewniane domki i tylko gdzieś tam widniały domy z cegły. Ale wszystkie, nawet te murywane, były parterowe, bo Wawrzyszew, choć należał już do Warszawy, wciąż wyglądał jak wieś.

— Widzicie to, co ja?! — przerwała jej Hanka, bo właśnie dojechaliśmy do drewnianego mostku, który prowadził na drugą stronę wąskiego kanału.

Kawałek dalej kanał wpadał do otoczonego trzcinami stawu, po którym pływały kaczki. Na przeciwległym brzegu był drewniany pomost, a obok niego piaszczyste zejście do wody.

— To **STAWY BRUSTMANA** — poinformowała nas Lena.

— Jak to stawy? Ja widzę tylko jeden — powiedziałem zawiedziony.



— Nie martw się, drugi jest trochę dalej.

Obeszliśmy dookoła oba stawy, a potem usiedliśmy na ławce.

— Bardzo tu miło — odezwała się po chwili Hanka, przyglądając się wodzie, trawnikom i drzewom. — W ogóle nie słychać samochodów. Czy te stawy powstały razem z osiedlem? — zwróciła się do Leny, która nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Wyręczyła ją jednak pani, stojąca od dłuższej chwili przy naszej ławce i robiąca zdjęcia fontanny tryskającej wodą pośrodku stawu.

— Stawy są dużo starsze. Mają prawie dwieście lat. Ciekawa jestem, czy zgadniecie, co było tu przed nimi.

— Może las albo jakieś łąki? — wysiliłem wyobraźnię.

— Były tu dość podmokłe tereny, na których stała wieś Wawrzyszew. Została jednak spustoszona w czasie powstania kościuszkowskiego pod koniec XVIII wieku. Opuszczone miejsce po jakimś czasie zmeliorowano i tak powstały nasze stawy.

— Czy to znaczy, że Wawrzyszew przestał wtedy istnieć? — zainteresowała się Lena.

— Nie, wyobraźcie sobie, że wieś przeniesiono w inne miejsce, niedaleko stąd. Odrodziła się tam, gdzie dziś biegnie Wólczyńska. Wtedy oczywiście nie była taką ruchliwą ulicą, ale zwykłą polną drogą. I wzdłuż tej drogi jedno po drugim pojawiały się nowe zabudowania, a w 1830 roku również mały cmentarz. Przetrwał do dziś. Jest tylko dużo większy. To Cmentarz Wawrzyszewski.

Pani z aparatem odeszła, a my wsiedliśmy na rowery.
— Spójrzcie, jakie nietypowe miejsce! – powiedziała Hanka, zatrzymując się na ulicy Czechowa.

— Rzadko można zobaczyć dwa kościoły tak blisko siebie – dodałem.

— To prawda, pewnie tylko na Starym Mieście. Tam jest ich mnóstwo – potwierdziła Lena.

— Ale tam wszystkie są stare – zauważyła trafnie Hania. – A tu mamy duży, nowy kościół pasujący do otoczenia i maleńki, stary, który wygląda, jakby wzniesiono go przypadkiem. Jest śliczny. Zajrzyjmy do środka – poprosiła, przechodząc przez furtkę w jasnym murze.

Obeszliśmy stary **KOŚCIÓŁ ŚW. MARII MAGDALENY**, przyglądając się rosnącym wokół drzewom. Na jednym z nich zauważyłem tabliczkę z informacją, że jest pomnikiem przyrody.



Wróciliśmy przed frontowe wejście do kościoła. Zadarliśmy głowy, patrząc na białe ściany, i wtedy Lena zawołała:

— Nie sądziłam, że jest aż tak stary! 1542 rok? To chyba niemożliwe!

Słoń w mojej kieszeni zrobił się ciepły, dotknąłem go i wyszeptalem: „Odsłoń Bielany”. Powietrze zafalowało – po chwili drzewa oraz mur kościelny zniknęły. Zamiast nich zobaczyliśmy piaszczystą drogę, przy której stały malutkie drewniane chatki. Na ich tle kościół wydawał się bardzo duży, choć na pewno nie był większy niż przed chwilą. Coś zmieniło się w jego wyglądzie, ale nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo Hanka złapała mnie za rękę i pociągnęła za róg. Lena jednym susem znalazła się koło nas.

— Chyba znów przenieśliśmy się w czasie – powiedziała moja siostra. – Musimy być ostrożni.

Z oddali dobiegały dźwięki rozmowy. Początkowo nie rozróżnialiśmy słów, ale gdy mówiący zbliżyli się do nas, rozumieliśmy już każde z nich.

— Wspaniały kościół, Baltazarze. Słyszałem, że sporo było zachodu, zanim stanął.

— Tak, Mikołaju, staraliśmy się o założenie tu parafii od kilkadziesiąt lat. Chciano tego od wielu pokoleń. Do warszawskiej kolegiaty św. Jana jest stąd naprawdę daleko.

— Nie musisz mnie przekonywać. Właśnie stamtąd przyjechałem i zajęło mi to dwie godziny – odpowiedział



pan Mikołaj. – Cieszę się, że w końcu udało ci się doprowadzić sprawę do końca – ciągnął, zbliżając się niebezpiecznie do naszej kryjówki.

— To była długa droga. Na początku postawiliśmy tu drewniany kościół. Dochody z jednej z moich wsi przeznaczyłem w całości na budowę. Dzięki temu dziś możemy się już modlić w murowanym. Liczę, że będzie tu stał na wieki wieków.

— Amen – zakończył pan Mikołaj i już nie zamknął ust, bo właśnie wtedy zauważył nas.

Wpatrywaliśmy się w siebie z przerażeniem. Drżącą ręką odnalazłem słonia, ale zamarłem na widok tego, co właśnie podniósł z ziemi pan Baltazar.

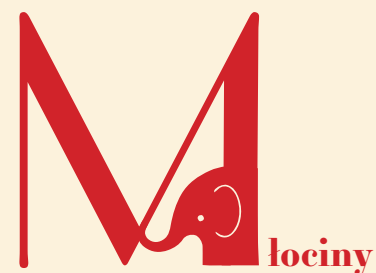
— Zasłoń Bielany! – krzyknęła desperacko Lena.

— Dlaczego to zrobiłaś? – zapytałem z żalem, gdy dookoła nas pojawiły się z powrotem drzewa i mur. – Baltazar właśnie znalazł konia! Drewnianego! Przypominał mojego słonika! Muszę tam wrócić!

Ścisnąłem słonia z całej siły, powtarzając zaklęcie, ale nic się nie wydarzyło.

— Wiecie, że ten Baltazar to nadworny lekarz króla Zygmunta Starego? – spytała Hanka, która już zdążyła znaleźć tę informację w internecie. – Miał na nazwisko Smosarski i był właścicielem Wawrzyszewa.

— I chyba jasnowidzem – zaśmiała się Lena. – Przewidział przecież, że kościół przetrwa w tym miejscu całe wieki!



Tydzień później postanowiliśmy z Hanią i Leną, że pojedziemy na Młociny, a pan Twardowski spytał, czy może do nas dołączyć.

We czwórkę jeździliśmy po spokojnych, cichych uliczkach, przy których stały wille. Jedne były nowe i zadbane, inne bardzo zniszczone i chyba już dawno opuszczone przez swoich mieszkańców. Wszystkie otaczały ogrody pełne zieleni.

— To chyba dosyć stara część Bielany? – zapytałem dziadka Leny.

— Zgadza się. Niektóre z tych domów postawiono między pierwszą a drugą wojną światową. Ale wtedy Młociny nie należały jeszcze do Bielany ani do Warszawy.

— A do czego? – chciała od razu wiedzieć moja ciekliwa siostra.

— Były po prostu Młocinami. Miejscowością, która ma swoje początki tak dawno temu, że trudno ocenić, kiedy powstała. Na pewno w średniowieczu, jeszcze przed XIV stuleciem. Ale spójrzcie na to – powiedział dziadek Leny, pokazując nam dom, obok którego się

zatrzymaliśmy. Była to piękna **ŻÓŁTA WILLA**, która wyglądała troszkę staroświecko – jak dworek. Z niebieskiej tabliczki na ogrodzeniu dowiedziałem się, że jesteśmy przy ulicy Dankowickiej 1.

— To właśnie jedna z tych przedwojennych willi. Zbudowano ich tu wtedy kilkadziesiąt.

— Dużo – oceniłem.

— A miało być znacznie więcej. Wszystko zaplanowano jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny. Miało tu powstać miasto ogród.

— Dziwna nazwa – zawyrokowała Lena.

— Miasto ogród to piękna koncepcja. Łączyła najlepsze cechy miasta i wsi, czyli dawała możliwość korzystania z miejskich rozrywek i wiejskiego zdrowego powietrza. Mówiąc w skrócie: miasto ogród to małe domy oraz duże ogrody i parki. Wiele takich miast pojawiło



się wtedy w różnych krajach Europy, także w Polsce, choć nie wszystkie plany udało się zrealizować w całości, tak jak tu.

— Zauważyliście, że na części tych ulic nie ma asfaltu? – spytała Hania.

— Trudno było nie zauważyć, skoro jechało się na rowerze po tym bruku – odpowiedziała Lena, masując sobie poobijaną pupę. – Ale muszę przyznać, że dzięki kocim łbom jest tu jeszcze ładniej.

Kolejny postój zrobiliśmy na skrzyżowaniu ulic Muzealnej i Farysa.

— Wyobrażacie sobie, że kiedyś Młociny były tylko małą wioską, otoczoną ogromną puszczą, pełną dzikich zwierząt? W wiosce mieszkało zaledwie kilkanaście rodzin. Okolice musiała być atrakcyjna, skoro w połowie XVIII wieku minister króla Augusta III, hrabia Henryk Brühl, wybrał ją na swoją letnią rezydencję – opowiadał dziadek Leny.

Poczułem, że słoń w mojej kieszeni zrobił się ciepły, więc dotykając go, szepnąłem: „Odsłoń Bielany”. Sprzed moich oczu zniknęło ogrodzenie, które było tam jeszcze przed chwilą, i znalazłem się na drodze prowadzącej do niewysokiego, jasnego budynku. Obok mnie stały Hania i Lena, ale pan Twardowski zniknął.

— Skąd się tu wzięliście? – zapytała ze zdziwieniem jakaś dziewczynka, wychodząc zza rosnącego przy drodze drzewa. Miała na sobie jakąś staroświecką sukienkę. – Nie widziałam, żebyście się zbliżali.



— A ty co tu robisz? – odpowiedziała pytaniem Hania.
— Mieszkam tu. Moja mama jest kucharką w pałacu.
— A czyj to pałac? – chciała wiedzieć Lena.
— Sądzę, że to **PAŁAC HRABIEGO BRÜHLA** – domyśliłem się.
— Zgadza się – potwierdziła dziewczynka. – Jeśli chcecie, mogę was oprowadzić po ogrodzie. Dziś nie będzie żadnego balu, więc nikogo tu nie ma i nikt na nas nie nakrzyczy. Ale do pałacu nie wolno wam wchodzić. – Pogroziła nam palcem.

Idąc w stronę pałacu, który był parterowym, dość rozległym budynkiem, dowiedzieliśmy się, że nasza przewodniczka ma na imię Jadzia i mieszka tu od urodzenia.
— Nasz pałac jest naprawdę wspaniały. Hrabia często urządza tu bale i różne zabawy, na które przyjeżdżają



bardzo pięknie wystrojeni goście, a jednym z nich jest sam król! – opowiadała Jadzia. – Słyszałam też, jak pewien pan nazwał nasz pałac Wilanowem Północy i zachwycił się tym, jak pięknie jest urządzone.

Minęliśmy pałac i weszliśmy do ogrodów. Kwitło w nich mnóstwo kwiatów, ale mnie najbardziej spodobał się zwierzyniec. Podobno hrabia trzymał w nim żubry, dziki i jelenie, jednak nam udało się zobaczyć tylko daniele i bażanty.

— Tam dalej jest nasz teatr leśny – oznajmiła Jadzia takim tonem, jakby ona sama była hrabiną i właścicielką tego wszystkiego. – Hrabia zaprasza na przedstawienia tylko wybranych gości.

— Spójrzcie, jak pięknie wygląda stąd Wisła – zachwycała się Lena. – W ogóle wszystko tu jest ładne.


— Skoro się wam podobało, to może dostanę coś w nagrodę. Niedawno były tu inne dzieci, którym też pokazałam ogrody, i dały mi to. – Otworzyła dłoń, na której zobaczyliśmy drewnianego konia. – Widziałam, że ty masz podobne zwierzątko.

— Nie oddam ci go! – krzyknąłem, a potem dotknąłem słonika i już staliśmy bezpiecznie obok dziadka Leny, który nawet nie zauważył naszego zniknięcia!

Powiedział tylko:

— A teraz czas na piknik w Parku Młocińskim!

W parę chwil dotarliśmy do polany, na której stało kilka wiat. Usiedliśmy pod jedną, a dziadek Leny rozłożył na stole nasz prowiant. Potem pobiegliśmy na plac



zabaw. Był zupełnie inny niż te w mieście. Wszystko zbudowano z drewna, a zamiast miękkiego sztucznego podłoża mieliśmy pod nogami piasek. Lena wyjaśniła nam, że na pomysł takiego placu wpadli mieszkańcy dzielnicy. Chcieli, żeby był ekologiczny.

— Moi rodzice głosowali na niego w budżecie partycypacyjnym – pochwaliła się.

— Bardzo fajne miejsce – powiedziała Hania, gdy wsiadaliśmy z powrotem na rowery. – Musimy tu jeszcze przyjechać.

— To może umówimy się kiedyś na ognisko? – zaproponowała Lena. – Wiecie, że tu zawsze jest przygotowane drewno, z którego każdy może skorzystać?

A potem pojechaliśmy szeroką drogą przez las pełen wysokich drzew, których pnie porastały huby.

— Dziadku, to mi nie wygląda na leśną ścieżkę, bardziej przypomina aleję w jakimś parku.

— Słuszna uwaga. Ten las to park leśny, czyli miejsce, w którym możemy spędzać czas jak w parku, ale jednocześnie żyją tu dzikie zwierzęta i ptaki oraz rosną drzewa typowe dla lasów.

— Jakie zwierzęta można tu spotkać? – spytałem, czując i ciekawość, i trochę niepokoju.

— Pewnie wiecie, że całkiem blisko stąd jest Puszcza Kampinoska, w której żyją dziki, sarny oraz łosie. Potrafią zawędrować i tutaj. Zimą dokarmiają je leśnicy opiekujący się tym terenem, a latem, gdy robi się gorąco, dostają wodę w specjalnych poidłach. Poza tym

żyje tu sporo mniejszych zwierząt, jak zające, lisy, wiewiórki czy kuny, a także różne płazy oraz gady, jak choćby żaby, ropuchy czy padalce...

— A zauważyliście, ile tu jest budek dla ptaków? – przerwała mu Lena.

— To skrzynki lęgowe. Zawieszono je na drzewach, żeby ptaki miały gdzie mieszkać – wyjaśnił jej dziadek.

— Nie wystarczą im dziuple? – zdziwiłem się.

— Jest ich za mało, a las potrzebuje wielu ptaków.

— Las ich potrzebuje?

— Tak, żeby polowały na owady. Niektóre gatunki owadów są szkodliwe dla leśnej roślinności. Dzięki ptakom ich liczba nie wzrośnie zanadto i nie zagrażą drzewom.

Chwilę później zjechaliśmy na drózkę wyłożoną kostką i dotarliśmy nią nad Wisłę. Stała tam metalowa tablica z liczbą „525”, były schodki, prowadzące aż do samej wody, a z boku nieduża piaszczysta plaża.

— Ciekaw jestem, co oznacza ta liczba – odezwałem się pierwszy, mając nadzieję, że dziewczyny też tego nie wiedzą. Nie przeliczyłem się.

— To oznaczenie kilometra Wisły – wyjaśnił dziadek Leny.

— Czyli, że gdzieś tam – machnąłem ręką w prawo – 525 kilometrów stąd, jest jej początek? – upewniłem się.

— Tak, i wyobraźcie sobie, że przy okazji jesteśmy mniej więcej w połowie jej długości – dodał pan Twardowski, więc szybko policzyłem w pamięci, jaką długość ma cała Wisła. – I właśnie tu była przystań, do której

przybijały parostatki z wycieczkami z Warszawy. Już w XIX wieku warszawiacy lubili spędzać na Młocinach wolny czas.

— No pewnie, wszyscy zawsze chcieli korzystać z naszego parku leśnego – oburzyła się Lena.

— I wszyscy mieli do tego prawo. Bo w 1907 roku władze Warszawy kupiły ten kawałek lasu właśnie z myślą o mieszkańcach stolicy. I kilka lat później – jeszcze przed pierwszą wojną światową – powstał Park Młociński.



— Czy ja dobrze pamiętam, że ten stary kościół, od którego zaczęła się historia Bielana, stoi do dziś? – zapytała w jakiś sobotni poranek Hania, wchodząc do mojego pokoju.

— Bardzo dobrze pamiętasz. A dlaczego pytasz?

— Bo może czas się do niego wybrać. Nie ciekawi cię, jak wygląda? Poza tym jest w lesie, więc miło będzie spędzić tam upalny dzień – namawiała mnie siostra, zerkając za okno.

— Dobra, możemy jechać. Tylko zadzwonię po Michała – dodałem, bo w końcu ja też zaprzyjaźniłem się z kolegą z klasy.

— To ja powiem Lenie – zawołała moja uszczęśliwiona siostra.

Godzinę później staliśmy przed **KOŚCIOŁEM NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY, ŚW. JÓZEFA I ŚW. AMBROŻEGO**, podziwiając jego zdobiony front.

— Teraz ludzie nie starają się już tak jak kiedyś, żeby budynki były ładne – pożałowała się Hania. – Popatrzcie na te posągi we wnękach, rzeźbione drzwi i na dekoracje na szczytach kolumn.

— Masz na myśli kapitele? – To pytanie mógł zadać tylko Michał – miłośnik historii.

— Wejźdźmy do środka – zaproponowała Lena. – Może będzie otwarte.

Wnętrze kościoła okazało się bardzo jasne – ściany były białe, a przez wysoko umieszczone okna wpadał blask słońca.

— Ten kościół ma ponad 250 lat, chociaż poszczególne elementy wnętrza pochodzą z różnych czasów – ogłosiła Lena po przeczytaniu informacji, które wisiały przy wejściu.



Szliśmy środkiem kościoła, rozglądając się dookoła i co chwilę któreś z nas wołało szeptem resztę, żeby coś pokazać.

— Jakie piękne girlandy nad oknami!

— Słodkie są te amorki!

— Popatrzcie na sufit!

Mnie najbardziej spodobały się dwa duże anioły za ołtarzem głównym.

Nagle z zakrystii wyszedł ksiądz. Michał uśmiechnął się na jego widok.

— To ksiądz Wojtek Drozdowicz, proboszcz parafii w Lesie Bielańskim. Zna mnie od urodzenia. Chodźcie, przedstawię was.

Ksiądz zaprosił nas do zakrystii, zachęcając do obejrzenia trzech dużych malowideł na suficie. Środkowe było największe i przedstawiało króla Salomona składającego ofiarę.

— To cenne siedemnastowieczne freski – wyjaśnił.

Obejrzelismy jeszcze ogromne gdańskie szafy, rozłożysty kredens i biały piec kaflowy, a potem wyszliśmy na zewnątrz.

— To było jak wycieczka do muzeum – stwierdziła Hanka, która wyglądała na bardzo zadowoloną.

— Coś w tym jest – przyznał jej rację Michał. – W całej dzielnicy nie ma drugiego miejsca z tyloma zabytkami.

Krążąc wokół kościoła, trafiliśmy na grób Stanisława Staszica. Nazwisko wydało mi się znane, ale nie wiedziałem skąd.

— To ksiądz, który żył na przełomie XVIII i XIX wieku. Zrobił bardzo dużo dla Polski. Był też naukowcem. Dzięki niemu powstało kilka ważnych szkół, między innymi Uniwersytet Warszawski – oświeciła mnie siostra.

— A dlaczego został pochowany właśnie tutaj, a nie na jakimś cmentarzu? – chciała wiedzieć Lena.

— I dlaczego taki ważny człowiek ma tak zwyczajny grób? – uzupełniłem.

— Bo poprosił o to w swoim testamencie. Chciał być pochowany właśnie tu, ponieważ kochał to miejsce – odezwała się pani, która podeszła do grobu. – Chciał mieć też skromny grób i nakazał, żeby w dniu pogrzebu rozdać ubogim część jego majątku.

Chwilę później zauważyliśmy w pobliżu kościoła małe domki otoczone murem.

— To eremy, czyli pustelnie kamedułów. Każdy zakonnik miał swój domek, w którym żył samotnie – odezwał się Michał.

— Ach, więc to tutaj zamieszkał pan Wołodyjowski po śmierci swojej Anusi! – krzyknęła Hanka, która zimą w czasie choroby przeczytała całą „Trylogię” Sienkiewicza i zamęczała mnie opowieściami o przygodach jej bohaterów. – Tak się cieszę, że widzę to miejsce!

Potem poszliśmy na taras widokowy. Ledwo stanęliśmy przy barierkach, żeby spojrzeć na Wisłę, słoń w mojej kieszeni rozgrzał się. Szepnąłem: „Odsłoń Bielany” i Wisłostrada zniknęła z naszych oczu, a rzeka znalazła się bliżej skarpy.

— Co się dzieje? – krzyknął przerażony Michał, któremu nie zdążyłem jeszcze powierzyć naszej tajemnicy.

Uspokajaliśmy go naprawdę długo. W tym czasie po drugiej stronie zarośli, w których się skryliśmy, gromadziły się coraz większe tłumy ludzi ubranych w stroje, jakie można zobaczyć na filmach o dawnych czasach.

— Ale piękna suknia! Chciałabym mieć taką – szepnęła z podziwem Hania na widok wystrojonej damy wysiadającej z karety, którą ciągnęło sześć koni.

— A mnie wystarczy sama kareta – uśmiechnął się w końcu Michał.

— Kim jesteście? – spytał nagle chłopiec, którego nadzieja nawet nie zauważyliśmy. – I dlaczego nie jesteście ubrani? – dodał, patrząc z przerażeniem na nasze nogi w szortach.

Przez chwilę wyglądało na to, że chce krzyknąć, ale tylko zadał pytanie:

— Czy może jesteście znajomymi Franciszka Twardowskiego?

— Tak – odpowiedziała Lena bez namysłu – to mój dziadek.

— Niemożliwe. Poznałem go ostatnio i zapewniam cię, że nie ma więcej lat niż ty, więc chyba myślimy o innej osobie.

— Pewnie tak – zgodziła się Lena. – Powiesz nam, co tu się dzieje?

— Nie wiecie?! Przecież to Zielone Świątki. Mamy odpust.

To tradycja. Co roku w to święto przyjeżdża tu mnóstwo ludzi z całej Warszawy. Niedługo przybędzie także król.

— Który? – zaciekał się Michał.

Nasz nowy kolega spojrzał na niego z niedowierzaniem, ale odpowiedział:

— Stanisław August. Panuje już dwa lata, a ty jeszcze o nim nie słyszałeś?

Na szczęście w tej chwili pojawiła się na Wiśle wielka łódź.

— Nigdy nie widziałam ładniejszej – westchnęła Lena na widok uniesionego smukłego dziobu.

Mimo że wiatr wydymał żagiel, to cztery pary wioślarzy nie przerwały pracy, kierując łódź w stronę naszego brzegu. Niedługo przybiła i wysiadł z niej wystrojony mężczyzna, którego wszyscy witali z szacunkiem. Potem przeszedł przez ozdobioną kwiatami bramę i ruszył schodami prowadzącymi w górę skarpy.

— To on! Król! – zawołał nasz towarzysz. – Teraz pójdzie do kościoła, a potem rozpocznie się zabawa. Zostaniecie?

Dopiero teraz zauważyliśmy, że na polanie stoją namioty, pod którymi widać uginające się od jedzenia stoły. Z oddali dobiegły nas dźwięki jakiejś starodawnej muzyki, a z rozmowy przechodzących obok pań dowiedzieliśmy się, że po zmroku będzie pokaz fajerwerków.

— Chętnie byśmy zostali, ale... – Hanka szukała wymówki, bo przecież nie mieliśmy tyle czasu.

— Rozumiem, nie jesteście odpowiednio ubrani.

Moglibyście wywołać skandal – zgodził się chłopiec.

— Szkoda, że nie znacie Franciszka. Obiecał, że wróci. Mam mu wtedy coś oddać. Zobaczcie. To figurka przedstawiająca zamorskie zwierzę – pochwalił się, pokazując nam drewnianą żyrafę.

— A może my mu to oddamy – powiedziałem, wyciągając rękę.

— Przecież go nie znacie! – zauważył i szybko ukrył przede mną figurkę. A potem odwrócił się i uciekł.

Chwilę później byliśmy już w swoich czasach.

— Teraz sobie przypominam, że słyszałem o odpustach w tym kościele. Zabawy odbywały się tu przez całe stulecie – powiedział Michał z przejęciem.

— Myślicie, że mój dziadek naprawdę tu był przed nami? – zapytała Lena zajęta swoimi myślami.





ark Olszyna i Słodowiec

Po wycieczce do Lasu Bielańskiego byliśmy prawie pewni, że dziadek Leny też kiedyś podróżował w czasie. Może właśnie wtedy zgubił pozostałe figurki? Postanowiliśmy odzyskać je dla niego, gdy nadarzy się okazja.

Kilka dni później Michał zaprowadził nas do parku Olszyna. Chcieliśmy pograć w siatkówkę.

— Centrum Rekreacyjno-Sportowe m.st. Warszawy w Dzielnicy Bielany – przeczytaliśmy napis na ogrodzeniu i przeszliśmy przez furtkę.

Boisko było super. Przy okazji dowiedziałem się, że można tu też przyjść pograć w piłkę albo w kosza. Gdy już mieliśmy dość gry, przenieśliśmy się na ściankę wspinaczkową. Świetna zabawa. Polecam! Najlepsza okazała się Lena, która od kilku miesięcy uczy się wspinąć. Postanowiłem wtedy, że też się zapiszę na treningi. Potem przeszliśmy się po parku.

— Co to jest? – zapytał Michał, pokazując domek dla ptaków ustawiony na wysokim słupie.

— Zastępcze **MIEJSCE LĘGOWE DLA PTAKÓW** – Hanka



pierwsza zauważyła tablicę informacyjną, z której dowiedzieliśmy się, że ptakom w mieście jest coraz trudniej znaleźć miejsce na założenie gniazda.

— Nie sądziłem, że odnawianie budynków przez ludzi może sprawić tyle problemów ptakom – zdumiałem się.

— Bardzo pomysłowe te zastępcze gniazda! – zachwycała się Lena. – Dobrze, że ktoś zauważył, że ptaki potrzebują takich miejsc.

Do domu wracaliśmy obok **STACJI METRA SŁODOWIEC**.

— Dziwna nazwa – Słodowiec – nie sądzicie? Ciekawe, od czego pochodzi... – zastanawiała się Lena.

— Mogę ci powiedzieć, bo sprawdziłem to kiedyś – pochwalił się Michał. – Dawno temu produkowano tu sól, czyli specjalnie przygotowane ziarna zboża. Stał tu wtedy młyn słodowy. Potem powstała osada, którą od tego młyna nazwano Słodowiec.

— Zaraz, zaraz... Myślałem, że Słodowiec to tylko nazwa stacji metra – wtrąciłem.

— Nie tylko. To przede wszystkim nazwa tej części Bielan – teraz popisała się wiedzą moja siostra.

— Czy ten młyn jeszcze stoi? – wróciła do tematu Lena.

— Nie ma po nim śladu, po starym Słodowcu też nie. Był dokładnie tam, gdzie krzyżują się aleja Armii Krajowej i ulica Marymoncka – objaśnił Michał.



Nagle poczułem ciepło w kieszeni. Dotknąłem słonika i wypowiedziałem zaklęcie. Powietrze przed nami zafalowało.

— Dlaczego jest tak ciemno?! – spytała przerażonym szeptem Hania.

Początkowo nie widzieliśmy zupełnie nic, bo nasze oczy przyzwyczajone były do słońca, a cofając się w czasie, trafiliśmy na noc. I to jaką!



— Czy ci ludzie nie mieli latarni? – spytała z pretensją w głosie Lena.

— Myślę, że jesteśmy w polu – powiedziałem, wyęzając wzrok. – Spójrzcie, tam chyba coś się świeci.

W tym momencie usłyszeliśmy, że ktoś się zbliża, i przykucnęliśmy za kopcem kamieni.

— Jeszcze raz, proszę, wybac mi, miłościwy panie, że wzięłem udział w tym spisku – dobiegł nas coraz wyraźniejszy męski głos.

— Obiecuję ci wybaczenie, jeśli doprowadzisz mnie szczęśliwie do jakiegoś schronienia. Jestem ranny i zmęczony, a noc zrobiła się chłodna – odpowiedział drugi.

— Najjaśniejszy panie, widzę jakieś światło przed nami. Poprosimy o schronienie.

Mężczyźni minęli nas. Oczekaliśmy chwilę i ruszyliśmy ich śladem.

— Ktoś jest za nami! – zaniepokoił się jeden z nich.

— Najjaśniejszy panie, mam broń, jeśli ktoś nas atakuje, zabiję go – powiedział drugi, a my po prostu zamarliśmy.

— Czy to przypadkiem nie są twoi towarzysze z konfederacji?

Staliśmy w miejscu tak długo, aż zobaczyliśmy, że mężczyźni dotarli do domu, w którym paliło się światło. Gdy weszli do środka, podeszliśmy bliżej i zajrzeliśmy przez nieduże okno.

— Poznaję go! – prawie krzyknął Michał.

Ja też miałem wrażenie, że znam jednego z tych mężczyzn.

Za rogiem chaty coś skrzypnęło, ale nie zwróciliśmy na to uwagi, zajęci tym, co było widać przez okno. Pośrodku izby na podłodze pięcioro dzieci bawiło się małym drewnianym konikiem! Nagle czyjaś wielka łapa chwyciła mnie za kark i usłyszałem:

— Dla kogo szpiegujecie?!

Hania piszczała przerażona, Lena płakała, a Michał próbował wyzwolić się z uścisku drugiej ręki naszego prześladowcy. Odnalazłem słonika i krzyknąłem „zasłoń Bielany”. Oślepiło nas słońce i zrobiło się gorąco.

Dopiero wieczorem przypomniałem sobie, skąd znałem twarz rannego mężczyzny. To król Stanisław August! A ten drugi to Jan Kuźma, który w 1771 roku wziął udział w porwaniu króla! Już kilka godzin później zaczął żałować swojego postępku. Dlatego doprowadził rannego króla do młyna, gdzie obaj przenocowali. Następnego dnia Stanisław August był już wolny.



— Bloki przed nami to osiedle Ruda – odezwała się Lena, gdy pewnego letniego dnia jechaliśmy za jej dziadkiem na rowerach. – Czy wiecie, że pierwsza osada o tej nazwie pojawiła się tu prawdopodobnie wtedy, gdy Warszawa była jeszcze małym miastem? Pewnie istniała tu taka śliczna, maleńka wieś, jak myślisz, dziadku? – rozmarzyła się.

— Śliczna? Być może, ale na pewno niewielka. Jest bardzo możliwe, że powstała jako zaplecze dostarczające rozwijającej się Warszawie płody rolne, bo przecież mieszkańcy miasta musieli jeść jajka, sery czy kasze. — Stał tu też kiedyś młyn, bo przez Rudę przepływała rzeka Rudawka – przypomniała sobie jeszcze Lena.

— Rzeka? – zdziwiła się Hanka. – A gdzie ona się podziała?

— Była to raczej rzeczka niż rzeka i tu rzeczywiście trudno ją znaleźć. Ale zaraz zobaczymy jej fragment – powiedział dziadek Leny, a po chwili zatrzymaliśmy się przy ulicy Klaudyny nad niewielkim kanałkiem. – Proszę, oto Rudawka.

— Nigdy bym się nie domyśliła. — Lena była wyraźnie rozczarowana.

— Przypomina ten kanałek w parku Olszyna — zauważyłem.

— Brawo, to ta sama rzeczka. I tu, i tam została skanalizowana. Jej kolejny odcinek możecie odnaleźć w Lesie Bielańskim. A kiedyś była największym w tej okolicy dopływem Wisły. Ma źródła na Woli. Przez setki lat płynęła stamtąd przez tereny Żoliborza i Bielan, zasilając po drodze kilka stawów, napędzając młyny, a w miejscu dzisiejszego parku Stawy Kellera tworzyła kiedyś nawet kaskadę, czyli kilkustopniowy wodospad.

Potem znów wjechaliśmy w osiedle, bo pan Twardowski miał tu coś do załatwienia. Przyglądaliśmy się numerom bloków, chcąc odnaleźć właściwy. Wydawało się, że ulica Klaudyny to pojawia się, to znika, żeby potem znów się pojawić.

— Nie rozumiem, jak biegnie ta ulica — poskarżył się Michał.

— Tak, ma dość nieoczywisty przebieg — zgodził się dziadek Leny. — I pomyśleć, że kiedyś Ruda była typową wsią ulicówką — prostą drogą z rzędami domów po obu stronach.

Ledwo to powiedział, poczułem ciepło w kieszeni. Wyszeptałem hasło, powietrze zafalowało i już staliśmy na piaszczystej drodze. My, to znaczy Lena, Hania, Michał i ja. Nie było z nami pana Twardow-

skiego, zniknęły też rowery. Ruszyliśmy przed siebie. Nie byliśmy tu jedynymi ludźmi, ale na pewno budziłyśmy największe zainteresowanie.

— To pewnie przez nasze ubrania — domyśliła się Hanka.

— Oczywiście, że przez wasze stroje — odpowiedział zamiast nas jakiś pan, choć sam był ubrany dużo dziwniej niż my: miał kurtkę, która z przodu kończyła się na wysokości pasa, a z tyłu w okolicach kolan, i strasznie wysoki kapelusz na głowie. Obok niego szedł nasz rówieśnik.

— Poczekaj tu z nimi, Stefku — polecił chłopcu — a ja przyniosę jakieś okrycia.

— Jak nazywa się to miejsce? — odezwał się Michał, gdy zostaliśmy sami.

— To Ruda Fabryczna — odpowiedział Stefek.

— Fabryczna? Nie widzę tu żadnych fabryk — zdziwiła się Lena.

— Rozejrzyj się, jest ich mnóstwo. Tam i tam — wskazywał w kierunku domów, które robiły na mnie wrażenie zwykłych domów mieszkalnych. — To jest farbiarnia, to mydlarnia, tam robi się ozdoby z bursztynów, tam proszek do wybielania, a dalej są przędzalnia i warsztaty tkackie. Jeśli przejdziemy się w tamtą stronę, zobaczycie fabrykę zwierciadeł należącą do mojego ojca — zakończył z dumą. — Ale nie możemy stąd odejść, ojciec zabronił — przypomniał sobie.

— Prawdziwe miasto fabryczne — zażartowała Hania,



bo domki przed nami zupełnie nie przypominały współczesnych fabryk, ale Stefek nie wyczuł ironii.

Nagle przypomniał mi się dziadek Leny. Wyjąłem z kieszeni słonia i pokazałem go Stefkowi.

— Widziałeś kiedyś coś takiego?

— O, słonik Franka – ucieszył się. – Wy też znacie Franka, Wandzię i Andrzeja? A gdzie jest reszta zwierzątek?

— Mamy tylko słonia – odpowiedziała Lena.

— Więc nie możecie spełniać życzeń? – spytał zawiedzionym głosem.

— Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy mieli je wszystkie, słonia i konika, i żyrafę, moglibyśmy spełniać wszystkie swoje życzenia?

— To nie tak. One spełniają tylko te najgorętsze.

Stefek zamilkł. Chyba chciał coś jeszcze dodać, ale zanim to zrobił, zauważyłem, że zbliża się do nas jakiś pan w mundurze. Uznałem, że lepiej będzie uniknąć spotkania z dziewiętnastowiecznym policjantem, więc szepnąłem „zasłoń Bielany”.

— Kiedy byłeś w naszym wieku, na pewno miałeś jakichś przyjaciół. Jak się nazywali? – zapytała po chwili Lena swojego dziadka.

— Miałem przyjaciela, Jędrka, świetny był z niego kumpel. Chciałbym wiedzieć, co się z nim teraz dzieje. I z Wandą – dodał po chwili, ale my już patrzyliśmy w stronę boiska, na którym nasi rówieśnicy rozgrywali mecz piłki nożnej.

— My też moglibyśmy tu kiedyś przyjść, żeby pograć w piłkę – zaproponował Michał. – To Orlik.

— Co? – zdziwiła się Hanka.

— Orlik, czyli przestrzeń sportowa dla wszystkich. Możesz tu zagrać w siatkówkę, kosza, badmintona albo tenisa. Co kto lubi!





stawy Kellera i Ruda Minterowska

Dziewczynom tak się spodobał pomysł z badmintonem, że już dzień później maszerowaliśmy z raketkami na boiska przy ulicy Klaudyny.

— Mam nadzieję, że deszcz nie zepsuje nam zabawy – niepokoila się Hanka, patrząc na pochmurne niebo.

— Możemy wejść tutaj i się dowiedzieć – zażartował Michał, wskazując mijany budynek.

— Dlaczego mielibyśmy to robić? – zdziwiła się moja siostra.

— Bo to Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej – odczytała Lena napis przy wartowni, a ja zauważyłem obok tabliczkę z adresem: Podleśna 61.

— I co z tego? – spytała Hanka.

— To przecież tutaj powstają prognozy pogody – wyjaśnił Michał. – Najpierw prowadzone są obserwacje, badania i pomiary, a potem na ich podstawie tworzona jest prognoza. Mają tu radary i urządzenia do odbioru sygnałów z satelity.

„Ciekawe, czy w środku jest jak w stacji kosmicznej” – rozmarzyłem się, zostając na jakiś czas w tyle.

Gdy dogoniłem przyjaciół, usłyszałem, jak Lena tłumaczy, skąd wzięła się nazwa Marymont.

— Pochodzi z francuskiego. Niedaleko stąd król Jan III Sobieski zbudował pałac dla swojej żony Marysieńki. A okolicę od jej imienia nazwano Marie Mont, czyli Góra Marii.


Dotarliśmy do parku.

— **PARK STAWY KELLERA** – przeczytała Hanka z niebieskiej tabliczki i od razu miała gotowe pytanie: – Czy Keller to były właściciel tego parku?

— Emil Keller to właściciel farbiarni, która działała tu na początku XX wieku – odpowiedział Michał.

— Ale stawy znajdowały się tu wcześniej – zaznaczyła Lena. – Park zresztą też, bo kiedyś to miejsce było częścią ogrodów królowej Marysieńki.





Przeszliśmy przez park, naprawdę zadbane. Na trawnikach kwitły kolorowe kwiaty. Kilkoro dzieci bawiło się na ogrodzonym placu zabaw. Centrum parku stanowił staw z drewnianym mostkiem przerzuconym nad małym wodospadem.

— Może to na pamiątkę kaskady, która tu kiedyś była. Jak myślicie? – zastanawiał się Michał.

Po wyjściu z parku znaleźliśmy się na ulicy Rudzkiej.

— To dziwne, że po jednej stronie są budynki, a po drugiej nie ma nic – powiedziałem.

— Nie nic, jest trawa – poprawiła mnie Lena.

Kieszeń, w której miałem słonia, zaczęła mocno grzać.

— Uwaga! – ostrzegłem przyjaciół. – „Odsłoń Bielany”.

Zaraz potem staliśmy na brzegu dużego jeziora. Kształtem przypominało puste miejsce z trawą, na które patrzyliśmy jeszcze chwilę temu. Po jeziorze pływały łódki, a na jego środku była wyspa.

— Ciekawe, czy można się na nią dostać? – przyszło do głowy Michałowi. – Chciałbym zobaczyć, do czego służą domki, które tam widać.

— Oczywiście, że można – odezwał się starszy od nas o kilka lat chłopak, który siedział niedaleko z wędką. – Jesteście letnikami?

— Nie, chcieliśmy tylko popatrzeć – wyjaśniła mu Lena.

— Wsiadajcie, to was przewiozę – zaproponował.

Dopiero teraz zauważyliśmy łódkę, która czekała przy brzegu.

— Ładnie tu – zauważyła moja siostra, gdy znaleźliśmy się na jeziorze. – Co to za budynek?

— To dom gospodarski folwarku. Możecie tam kupić świeży nabiał – wyjaśnił nasz przewoźnik, cały czas wiosłując.

— I mleko od krowy też tam mają? – ucieszył się Michał.

— A jakie ma być, jak nie od krowy? – zdziwił się nasz nowy znajomy. – W folwarku jest dużo krów, to i mleko sprzedają, i sery, i masło, i śmietanę. Co tylko chcecie.

Na dnie łódki leżała gazeta. Przeczytałem tytuł i datę: „Gazeta Warszawska, 1850”. Chciałem ją podnieść i zobaczyć, o czym kiedyś pisano w gazetach, ale właśnie zbliżyliśmy się do wyspy. Pełna była małych drewnianych domków otoczonych ogródkami.

— Kto tu mieszka? – chciał wiedzieć Michał.

— Letnicy, to przecież Ruda Mintera.

— Ruda co? – zdziwiłem się.

— Mintera. Karola Mintera. Kupił ten staw i folwark i zrobił z nich letnisko. Nigdy nie słyszeliście? Przyjeżdża tu na wakacje chyba cała Warszawa. No, jesteśmy na miejscu. Możecie się przejść, a ja tu na was poczekam.

Ruszyliśmy drogą, zaglądając z ciekawością do ogródków. W jednym z nich siedziało dwoje dzieci, kłócąc się o coś z krzykiem i trącając łokciami w zębra. Po chwili pojawiła się jakaś pani i próbowała je uspokoić, ale dzieci zrobiły się tylko jeszcze bardziej

nieznośne. Ich wrzaski słycać pewnie było na całym jeziorze. Pani, żeby je uciszyć, wręczyła każdemu z nich nieduży przedmiot. Jedno z dzieci uspokoiło się i zaczęło oglądać prezent, natomiast drugie z wściekłością rzuciło nim przed siebie. Wylądował tuż koło nas. — Zobaczcie, czy to... czy wy... — Lenie z wrażenia zabrakło słów.

Na ziemi kilka kroków od naszych stóp leżał drewniany konik. I był chyba tym, którego szukaliśmy! Lena szybko go podniosła i włożyła do kieszeni, a ja wypowiedziałem zaklęcie, które przeniosło nas do naszych czasów.



— Teraz rozumiem, dlaczego Rudzka ma taki dziwny kształt — powiedziałem, gdy po grze w badminton siedzieliśmy wszyscy w moim pokoju, przyglądając się mapie.

— Faktycznie, wszystkie ulice w tej okolicy są proste, a ona wygląda jakby wciąż biegła brzegiem jeziora — uśmiechnęła się Lena, głaszcząc drewnianego konika.



— Piotrek, może wybierzemy się dziś na Chomiczówkę? — zawołała Hanka, wchodząc do mojego pokoju.

— Dlaczego akurat tam?

— Bo przeczytałyśmy z Leną, że na **CHOMICZÓWCE** jest łąka — najprawdziwsza łąka — pełna teraz kwitnących kwiatów, więc chcemy ją zobaczyć — wyjaśniła mi siostra. — Została tam specjalnie założona.

— No i tam jeszcze nie szukaliśmy żyrafy — dodała Lena.

Kilka dni wcześniej ustaliliśmy, że jeśli ją odnajdziemy, trzy drewniane zwierzątka będą prezentem urodzinowym dla dziadka Leny od nas wszystkich. Bo od roku, czyli od śmierci żony, często chodził smutny. Mieliśmy nadzieję, że nasz prezent go rozweseli, a być może spełni nawet jego najgorętsze życzenie.

Łąka, którą chciała zobaczyć Hania, była rzeczywiście bardzo kolorowa i wyglądała zupełnie jak te na wsi. Z tą różnicą, że ustawiono tam ławki i urządzono mały plac zabaw.

— Spójrzcie, czy to karmnik dla ptaków? – zainteresował się Michał niską drewnianą budką o dziwnym kształcie, stojącą w trawie.

— Myślę, że to domek dla owadów. Czytałam, że jest ich tu kilka, żeby owady miały gdzie się schować przed deszczem. Mogą w tych domkach spędzić nawet całą zimę – pouczyła nas moja siostra.

Przyglądaliśmy się łące, słuchając jednocześnie pogawędki dwóch pań siedzących na ławce. One też rozmawiały o łące. Bardzo im się nie podobała. Wolałyby mieć tutaj większy plac zabaw dla dzieci. Wtedy znów poczułem, że słoń w mojej kieszeni rozgrzewa się.

Po chwili nadal byliśmy na łące, ale dużo, dużo większej. Bloki oczywiście zniknęły. W kilku miejscach



w zasięgu naszego wzroku bawiły się grupki dzieci. Nieco dalej stały małe domki z ogródkami.

— Zupełnie jakbyśmy byli na majówce! – zachwyciła się Hania.

— Myślałam, że właśnie jesteście na majówce – zdziwiła się dziewczynka, która siedziała tuż obok w wysokiej trawie i pewnie dlatego nie zauważyliśmy jej wcześniej. – Wiele osób przyjeżdża do nas w wolne dni z Warszawy. Niektórzy mają tu nawet swoje podmiejskie domy.

— A ty? – spytała Lena.

— Ja tu mieszkam. Moi rodzice kupili dwa lata temu ziemię od pana Chomicza i zbudowali nasz dom.

— A kto to jest ten pan Chomicz? – chciał wiedzieć Michał.

— To właściciel firmy ogrodniczej. Prowadzi ją razem z braćmi. Zaczęli w 1909 roku, a teraz są już bardzo znani. Uprawiają warzywa, kwiaty i drzewa owocowe. Mają dużo ziemi. Część przeznaczyli na swoje uprawy, a część sprzedają ludziom, którzy chcą tu zamieszkać tak jak my.

— Skoro tu mieszkasz, to może spotkałaś kiedyś Wandę, Franka i Andrzeja? To nasi znajomi i wydaje mi się, że mówili coś o majówce w tym miejscu – zapytałem.

Dziewczynka podrapała się z namysłem po głowie, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, od strony domów zawołano ją na obiad.

- Muszę lecieć, zegnajcie – powiedziała i odbiegła.
A my znów staliśmy na łące między blokami.
— Szkoda, że nie zdążyliśmy zapytać o żyrafę – westchnęła Lena.
— Ale przynajmniej zobaczyliśmy tę łąkę. – Hania starała się pocieszyć przyjaciółkę. – Myślę, że to był dobry pomysł, żeby ją tu założyć. Takie wspomnienie po dawnych czasach. Przecież to miejsce zawdzięcza nazwę człowiekowi, który zajmował się roślinami.
— A ja zawsze myślałem, że nazwa Chomiczówka pochodzi od chomików – przyznał się ze wstydem Michał.



Pewnego dnia w poszukiwaniu żyrafy dotarliśmy na Stare Bielany.

— To chyba najstarsza część dzielnicy, skoro tak się nazywa. Pewnie znajdowała się tu jakaś średniowieczna osada – zastanawiała się Hania.

— Właśnie, że nie. Z dawnych map wynika, że w tym miejscu nigdy nie było wsi – odezwał się Michał. – Tylko pola i lasy. Dlatego w czasie zaborów Rosjanie urządzili tu poligon wojskowy. Potem wybuchła pierwsza wojna światowa, Rosjanie wynieśli się stąd, a pusty teren został przyłączony do Warszawy w 1916 roku.

— Ale domy pojawiły się tu dopiero kilkanaście lat później, tak mi mówił dziadek – przypomniała sobie Lena.

Przeszliśmy przez plac Konfederacji i zatrzymaliśmy się na rogu Płatniczej, gdzie ze zdziwieniem odkryliśmy, że według starej białej tabliczki o niebieskich literach jest to ulica Chełmżyńska.

— Myślę, że to przedwojenna nazwa – zasugerował Michał i w tej samej chwili mój słoń przypomniał o swoim istnieniu.



— Niby jest podobnie, ale zupełnie inaczej – powiedziała Hanka, gdy falowanie powietrza ustało i mogliśmy się rozejrzeć.



Szerokość ulicy nie zmieniła się, stały przy niej takie same domy i latarnie też były podobne.

— Jest jednak dużo mniej drzew i wszystkie są niższe – zauważyłem.

— Brakuje też bruku – dodał Michał, przesuwając butem po piaszczystej drodze.

Z pobliskiego domu wyszły dwie dziewczynki w naszym wieku. Spojrzały na nas i jedna z nich odezwała się:


— Chyba nie jesteście stąd. Chętnie pokażemy wam naszą dzielnicę. Jest tu co oglądać.

Hania i Lena zgodziły się od razu, więc Michał i ja nie mieliśmy już wiele do powiedzenia.

— Te domy zbudowała spółdzielnia Zdobycz Robotnicza – opowiadała brunetka Mania, idąc **ULICĄ PŁATNICZĄ**. – Przy sąsiednich ulicach też. Moi rodzice należą do tej spółdzielni.

— Nie zapominaj, że są też inne spółdzielnie. Na przykład moi rodzice należą do „Pocisku” – wyjaśniła z dumą Zosia z jasnymi kręconymi włosami.

— Czy nie mieszkamy we wspaniałym miejscu? Moja mama mówi, że dzięki przeprowadzce tutaj nie musimy już wyjeżdżać na lotnisko. I to prawda, po co? Mamy tu wszystko – informowała nas Mania, gdy spacerowaliśmy ulicami podobnymi do tej pierwszej. Wszystkie



były zabudowane niskimi jasnymi domami o czerwonych dachach. I wszystkie stały w ogródkach. Gdy doszliśmy do Żeromskiego, czekała nas niespodzianka. Tu kończyło się miasto.

— To jedno z naszych ulubionych miejsc – powiedziała Zosia. – I nie tylko naszych. Wszystkie dzieciaki z Bielán uwielbiają się tu bawić. Chodźcie! – zawołała i pobiegła w stronę kilku sosen, które rosły na piachu, zupełnie jakbyśmy się przenieśli nad morze. Były nawet wydmy z ostrą zielononiebieską trawą.

— Czasem udaje nam się tu zobaczyć lisa albo zającę – pochwaliła się Mania.

Potem odwiedziliśmy wieś o nazwie Kielbasa i opaliliśmy się nad stawem, a Zosia z Manią opowiadały nam historyjki ze swojego życia, na przykład o tym, że pewnego dnia hrabia Towarnicki, właściciel posesji przy ulicy Schroegera, przywiózł z safari i ustawił na swoim podwórku klatki z wielkimi małpami!

— Ale już ich tam nie ma – zakończyła Zosia z zalem. – Ostatni raz widziałyśmy je... Kiedy to było? A, podczas odwiedzin Wandy, Franka i Jędrka, pamiętasz? – spytała Manię.

— Czy ci wasi znajomi nie zostawili wam przypadkiem jakiejś pamiątki, na przykład małej zabawki? – dopytywała się Lena, ale obie dziewczyny nagle zupełnie straciły ochotę na rozmowę z nami.

Postanowiłem więc, że pora wrócić do naszych czasów. Chodziliśmy tymi samymi ulicami, które przeszliśmy

z Zosią i Manią, przyglądając się domom i szukając na nich śladów przeszłości. Wiele wyglądało na przedwojenne, a w niektórych ogródkach nadal rosły sosny. Na kilku ulicach zauważyliśmy stare latarnie gazowe.

— Choć jest podobnie jak wtedy, to jednak dużo ładniej – podsumowała nasze porównania Hanka.

Spacerując, doszliśmy do Lasku Lindego. Dzień był słoneczny, więc z przyjemnością weszliśmy na leśną ścieżkę.

— Kolejny las w tej dzielnicy? – zdziwiłem się. – Ale podoba mi się, że jest taka zielona. I że płynie tędy strumień.

— Mielście szczęście, że na niego trafiliście – powiedziała pani, która przyszła tu na spacer ze swoim psem. – To Potok Bielański. Czasem zupełnie wysycha. Ostatnio na szczęście było trochę deszczu, więc znowu się pojawił.

Przeszliśmy po drewnianej kładce na drugą stronę i zatrzymaliśmy się przy huśtawkach, za którymi widać było podłużny pagórek.

— Ciekawe, czy był tu zawsze? W okolicy jest przecież zupełnie płasko – zastanawiał się Michał.

Potem wyjął telefon, chwilę szukał czegoś w internecie i w końcu poinformował nas, że to pozostałość po strzelnicy z rosyjskiego poligonu. Przez chwilę mieliśmy nadzieję, że znajdziemy stare pociski, ale, jak zauważyła Lena, przed nami musiały tam już być setki poszukiwaczy, więc zrezygnowaliśmy.



mentarze, kapliczki i Radiowo

— Mam dziś wenę fotograficzną – powiedziała Lena, stając w drzwiach naszego mieszkania. – Przejdziecie się ze mną na małą sesję?

Okazało się, że tematem tej sesji mają być cmentarze i kapliczki. Chętnie bym się wycofał i został w domu, bo nie interesowałem się specjalnie takimi rzeczami, ale byliśmy już na ulicy, za chwilę miał do nas dołączyć Michał i w ogóle jakoś głupio było teraz rezygnować.

Zaczeliliśmy od Cmentarza Żołnierzy Włoskich przy Marymonckiej. Nigdy wcześniej na nim nie byłem. Został założony po pierwszej wojnie światowej, ale pochowani są tu także ci, którzy zginęli w drugiej.

Lena biegła z aparatem, fotografując równe rzędy jasnych nagrobków, betonowe kwietniki i żelazne ogrodzenie, a my biegaliśmy za nią.

— To naprawdę jest ładne! – Hanka podeszła do furtki, pokazując nam klamkę w kształcie liścia.

— A to nie? – Zatrzymałem się przy fragmencie ogrodu, ozdobionym okrągłą tarczą.

Michał ucieszył się, gdy odnalazł na kwietnikach podobiznę rzymskiej wilczycy.

Potem odwiedziliśmy parę kapliczek na Starych Bielanych i Wawrzyszewie, a w końcu stanęliśmy na skrzyżowaniu ulic Arkuszowej z Księżycową.

Ledwo zsiadłem z roweru, poczułem, że mój słon zrobił się ciepły. Wypowiedziałem głośno – żeby wszyscy wiedzieli, co się zaraz stanie – zakłęcie, i przeskoczyliśmy w przeszłość. Kapliczka stała w tym samym miejscu, ale teraz wyglądała na zupełnie nową.

— Więc jesteśmy w latach trzydziestych XX wieku – odezwał się Michał. – Czytałem, że właśnie wtedy postawiono tę kapliczkę – dodał, widząc nasze zdziwienie.

Rozejrzeliśmy się. Asfaltową jezdnię zastąpiła wąska droga pokryta ziemią. Bokiem do niej stały małe drewniane domy, a przed każdym z nich koślawa ławeczka. Dlatego bardzo się zdziwiliśmy, widząc na horyzoncie tajemnicze wysokie konstrukcje przypominające kształtem wieżę Eiffla. Było ich dziesięć. Postanowiliśmy do nich dotrzeć, ale już po przejściu kilkudziesięciu kroków natknęliśmy się na dwóch panów w garniturach, którzy zabronili nam iść dalej.

— Rozumiem waszą ciekawość – mówił spokojnie jeden z nich – ale podejście bliżej byłoby dla was niebezpieczne. Te maszty należą do Transatlantyckiej Centrali Radiowonadawczej. Została wybudowana dziesięć lat temu i jest jedną z największych stacji nadawczych





w całej Europie. Nasze anteny dają możliwość przesłania sygnału radiowego, który słychać w Ameryce i w Japonii! Dzięki temu możemy teraz wysyłać depesze nawet do tak dalekich krajów.

Milczeliśmy, bo żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Ja miałem ochotę wyjaśnić temu panu, że depesze to przestarzała forma komunikacji i w naszych czasach są już dużo lepsze, ale przecież nie rozumiałby tego.

— A teraz bądźcie grzeczni i wracajcie do Gaci. I więcej nie próbujcie się tu kręcić! Do widzenia! — drugi pan zakończył stanowczo rozmowę.

Wróciliśmy pod **KAPLICZKĘ**.

— O jakie gacie mu chodziło? — Hania zapytała o to, co męczyło również mnie.

— Nie gacie, tylko Gać — poprawił ją Michał. — Tak nazywa się ta miejscowość. To znaczy nazywała się, bo w naszych czasach to już część Warszawy i nazywa się Radiowo.

— Myślisz, że na pamiątkę tej wielkiej centrali radiowo jakiejś tam? — spytałem.

— Dokładnie. Żałuję, że nie zobaczyliśmy jej z bliska.

— A ja żałuję, że nie znaleźliśmy tam żyrafy — powiedziała Lena ze smutkiem, bo do urodzin jej dziadka było coraz mniej czasu.



Akademia Wychowania Fizycznego

Bardzo chciałem pomóc Lenie w zdobyciu żyrafy, więc postanowiłem wyszukać na mapie Bielan takie miejsca, w których jeszcze nie byliśmy. Zauważyłem już, że słoń nigdy nie przenosi nas w to samo miejsce. Zupełnie jakby wszędzie dawał nam tylko jedną szansę.

Na kolejną wyprawę poszukiwawczą wybrałem AWF.
— AWF? Co to takiego? – dopytywała się Hanka niecierpliwie.

Odpowiedź znalazła, gdy dostaliśmy się na teren uczelni.
— Ach, to **AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO** – przeczytała na głos.

— Widzę tu coś ciekawego! – zawołał wesoło Michał, który trochę nas wyprzedził.

Gdy podeszliśmy do niego, zobaczyliśmy nietypowy **PLAC ZABAW**. Stały na nim metalowe spiralne konstrukcje z rozwieszonymi wewnątrz siatkami. Od razu nabrałem ochoty, żeby się tam wdrapać.

— A co to takiego? – spytała Hanka, pokazując miejsca na trawie, wyłożone miękką matą, w której wycięto otwory wypełnione plecionką z szerokich pasów.

Wszedłem na jedno z takich miejsc, a plecionka lekko ugięła się pod mną.

— Trampolina! – zawołałem zachwycony i po chwili skakaliśmy już wszyscy.

Bawiliśmy się tam dość długo, a na zakończenie urządziliśmy zawody wspinaczkowe. Tak jak się spodziewałem, wygrała Lena, a ja znów obiecałem sobie, że od nowego roku zacznę się uczyć wspinania.

— Świetny plac zabaw. Nie wiem, jak to się stało, że nigdy wcześniej tu nie byłem – zastanawiał się Michał, gdy ruszyliśmy, żeby sprawdzić, co jeszcze kryje się na tym terenie.

Doszliśmy właśnie do jakiegoś placu. Z trzech stron otaczały go białe ściany bardzo długiego budynku, a na środku rosły drzewa i krzewy.



— Zauważyliście, że wszystkie domy, jakie mijaliśmy po drodze z placu zabaw, są do siebie bardzo podobne?
— spytałem.

— Nie wydaje mi się – moja siostra lubiła czasem mieć inne zdanie niż ja. – W czym widzisz to podobieństwo?

— W ich wysokości, kształcie okien, płaskich dachach i tym, że są pozbawione ozdób.

— Masz rację – poparła mnie Lena. – Nie mają żadnych ozdób. A jednak są ładne. To chyba dzięki tym prostym kształtom.



Właśnie wtedy słoń w mojej kieszeni znów się rozgrzał i po chwili byliśmy w przeszłości. Budynki wokół nas straciły swój jasny kolor.

— Dlaczego nie jesteście na uroczystości? – zwróciła się do nas jakaś młoda pani, która stanęła tuż za nami.

— Bo nie zostaliśmy zaproszeni. – Tylko taka odpowiedź przyszła mi do głowy, choć nie miałem pojęcia, o jaką uroczystość chodzi. Pani zmieniła temat:

— Podoba się wam nasz instytut?

— Tak, ale białe ściany byłyby ładniejsze – wyrwało się Lenie.

— Może masz rację, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Widzę, że chcielibyście wiedzieć, co jest w środku. Mogę was wprowadzić, ale szybko, bo za chwilę startuję, wybiegłam tylko na chwilę.

— A co jest tutaj? – spytała Hania, pokazując część budynku znajdującą się najbliżej nas.

— Biura dyrekcji. A tam, przed nami, widać okna internatu męskiego. My, dziewczyny, mieszkamy gdzie indziej. Oczywiście oprócz internatów są tu też dwie sale gimnastyczne, stadion, plac do ćwiczeń na świeżym powietrzu, biblioteka i czytelnia. Jak widzicie, rozwijamy się pod każdym względem. Ale chodźcie już!

Po wejściu do budynku poszliśmy korytarzem w stronę miejsca, z którego dochodziły brawa. Potem ktoś zaczął przemawiać, a my znaleźliśmy się w sali, która okazała się krytym basenem.

— No i co? – spytała z dumą nasza przewodniczka.

„Zwykły basen” – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno, tylko rozglądałem się dokoła. Basen miał sześć torów, słupki startowe oraz trybuny dla widzów,



wypełnione teraz aż do ostatniego miejsca przez elegancko ubranych panów i panie. W ścianach powyżej trybun były duże okrągłe okna. Całość wydawała mi się trochę ciasna w porównaniu z basenami, na jakich bywałem.

— Widzę, że jesteście pod wrażeniem! – ucieszyła się pani. – I wcale się nie dziwię, bo to najnowocześniejsza i najdroższa pływalnia w całym kraju! Siadajcie tutaj, zostawiam was pod opieką mojej siostry – powiedziała i zniknęła.

— Skąd znacie Jankę? – spytała dziewczynka na oko trochę od nas młodsza, ale zaraz zamilkła, bo jakiś siedzący przed nami pan spojrzał na nią groźnie.

Widocznie przeszkadzała mu w słuchaniu przemówienia, które wygłaszał mężczyzna stojący na mokrym od wody brzegu basenu.

Potem były zawody. Wygrała je nasza znajoma – Janka, a jej młodsza siostra pękała z dumy. W pewnej chwili wyjęła z kieszeni drewnianą figurkę żyrafy, spojrzała na nią z wahaniem i w końcu powiedziała:

— Dam jej moją żyrafę. Zasłużyła na nią.

Spojrzeliliśmy na siebie z Leną. Z całą pewnością nie była to odpowiednia chwila na wykradanie żyrafy, więc z ciężkim sercem wróciliśmy do swoich czasów.

— To w którym roku byliśmy tym razem? – chciał wiedzieć Michał.

— Pan, który przemawiał, mówił, że właśnie otwierają basen – przypomniała sobie Lena.

Sprawdziłem w internecie, że otwarcie pływalni odbyło się w 1937 roku. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Akademia Wychowania Fizycznego istnieje już od 1929 roku, a pomysł jej utworzenia pochodził od marszałka Józefa Piłsudskiego, któremu bardzo zależało na tym, żeby polskie społeczeństwo było w dobrej formie fizycznej. Uważał, że nowoczesny człowiek musi być sprawny fizycznie.

— Teraz rozumiem, dlaczego AWF nosi imię Józefa Piłsudskiego! – ucieszyła się Hania. – Bez niego nic by tu nie było. A tak mamy uczelnię i zabytek w jednym! – dodała, bo właśnie znalazła taką informację za pomocą swojego smartfona.





- A żyrafy jak nie było, tak nie ma – martwiła się Lena.
- Hej, a może dziś spróbujemy na Wrzecionie? – powiedział Michał. – Przy okazji zajrzemy do **MEDIATEKI** przy ulicy Szegedyńskiej 13a.
- A co to takiego? – wyprzedziłem Hankę, która właśnie otwierała usta, żeby też o to spytać.
- To supermiejsce. Na pewno wam się spodoba – odpowiedziała Lena. – Chodziliśmy tam na zajęcia z klasą kilka lat temu.
- Ja byłem tam też wiele razy z rodzicami – uzupełnił Michał.
- Ale co się tam robi? – zaczęła się niecierpliwie moja siostra.
- Wszystko! To najbardziej nowoczesne miejsce na Bielanach. Przekonacie się sami. Na przykład w Multi-centrum dzięki zabawie specjalnymi programami komputerowymi można zrozumieć zjawiska przyrodnicze – tłumaczył Michał.
- Albo nauczyć się zasad działania nowoczesnych technologii – dorzuciła Lena.

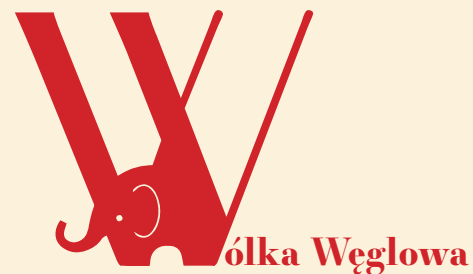
- Albo można skomponować własną muzykę.
- Tak, to zawsze było najfajniejsze!
Jadąc między blokami, wypatrywaliśmy z Hanką właściwego budynku.
- Czy to tu? – spytała moja siostra, gdy dostrzegła napis „Bielańskie Centrum Edukacji Kulturalnej”.
- Nie, to jeszcze nie to, ale powiem wam, że tutaj też można znaleźć coś dla siebie. Na początku roku chciałam się zapisać na lekcje śpiewu, ale zabrakło mi czasu. Może zapiszę się w przyszłym roku. Albo na warsztaty fotograficzne – zastanawiała się Lena.
- Też o nich myślę. Albo o dziennikarskich. Chciałbym w przyszłości zostać dziennikarzem – przyznał się Michał. – Wiecie, że są tu nawet tak nietypowe rzeczy jak warsztaty lalkarskie albo zespół cheerleaderek?



- Mediateka START-META – odczytałem po chwili. Zaczęliśmy od placu zabaw. Jest interaktywny i wykorzystuje energię z baterii słonecznych. Wykonywanie zadań wymaga refleksu i szybkości, więc po pewnym czasie wszyscy poczuliśmy się zmęczeni.
Później Lena z Michałem pokazali nam „Wykrzyk-nik”. To jedyne takie miejsce, w którym można krzyczeć

i nikt nie ma o to pretensji. Ściany są tam dźwiękoszczelne. Kiedy mieliśmy dość wrzeszczenia, znaleźliśmy sobie spokojniejsze zajęcia. Hania zainteresowała się wypożyczaniem książek, Michał oglądał stare płyty winylowe, ja sprawdziłem, jakie mają tu filmy, a Lena usiadła przy komputerze, żeby poszukać czegoś w internecie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że są tu również gry komputerowe i na konsole, które można wypożyczyć do domu albo grać w nie na miejscu.

W Mediatece spędziliśmy całe popołudnie, a wracając do domu, zauważyliśmy, że przy Lindego jest też basen, i już wiedzieliśmy, co będziemy robić następnego dnia.



Pamiętam, że choć w szkole był to wolny dzień, nasi rodzice musieli pójść do pracy. Wobec tego dziadek Leny postanowił zorganizować nam całodzienną wycieczkę rowerową po Puszczy Kampinoskiej. Powiedział, że jak się ma taki las tuż za miedzą, to trzeba z niego korzystać przy każdej okazji. Od razu sprawdziłem na mapie, gdzie leży ta puszcza. Pan Twardowski miał rację – ona rzeczywiście sąsiaduje z Bielanami. „Może tam uda nam się zdobyć żyrafę?” – pomyślałem z nadzieją.

W kaskach na głowach, z plecakami pełnymi prowiantu, jechaliśmy przez tereny Wólki Węglowej.

— Z czym wam się kojarzy ta nazwa? – spytał dziadek Leny.

— Z węglem.

— Z cmentarzem.

— Z niczym.

— O, to niedobrze – zmartwił się, słysząc tę ostatnią odpowiedź. – Mam nadzieję, że po naszej wycieczce będzie inaczej. A skojarzenie z węglem jest poprawne, bo to od niego pochodzi ta nazwa.

— Czy to znaczy, że gdzieś tutaj jest kopalnia? – zdziwiła się Hanka.

— Nie. Po prostu mieszkańcy wsi zajmowali się produkcją węgla drzewnego z drewna pochodzącego z okolicznych lasów.

Jechaliśmy teraz wzdłuż muru cmentarza. Był bardzo długi – wydawało nam się, że nie ma końca.

— To jeden z większych cmentarzy w Polsce, a nawet w Europie – wyjaśnił pan Twardowski. – Ale z Wólką Węglową wiąże się też historia z samego początku drugiej wojny światowej, którą chciałbym wam teraz opowiedzieć. We wrześniu 1939 roku toczyła się nad rzeką Bzurą wielka bitwa. Początkowo wygrywały w niej wojska polskie, później jednak Niemcy przeprowadzili kontrnatarcie, okrążyli nasze oddziały i rozbili je. Jednak część polskich wojsk wydostała się z tego okrążenia i postanowiła przedostać się do Warszawy, która była wtedy obleżona przez Niemców. Żołnierze przedzierali się przez Puszcę Kampinoską, co jakiś czas walcząc z Niemcami, aż dotarli w te okolice.

Ledwo to powiedział, poczułem, że mój słoń robi się ciepły, więc wyszeptalem hasło. Znaleźliśmy się w jakiejś wsi wyglądającej jak wiele innych, które widywaliśmy w czasie naszych wypraw w przeszłość: piaszczysta droga i niskie, drewniane domki po obu jej stronach.

— Dlaczego tu tak cicho? – zdziwił się Michał.

Pewnie tak jak ja spodziewał się, że trafimy w sam środek bitwy, o której zaczął nam opowiadać dziadek Leny.

— Tu prawie zawsze jest cicho o tej porze, każdy ma swoje zajęcia. W polu albo w Warszawie – jak moja babcia – powiedział chudy, wysoki chłopak, którego wiek trudno było odgadnąć.

— A co ona tam robi? – spytała od razu Hanka, która jak zwykle musiała zaspokoić swoją ciekawość.

— Pojechała sprzedać mleko i ser. Na Bielanach zawsze chętnie kupują je od nas. Chociaż nie wiem, jak z tym dalej będzie. Wiecie, ta wojna...



— Już się zaczęła? – przestraszyła się Lena.

I w tym momencie usłyszeliśmy odgłos wystrzałów.

— Musimy się schować, chodźcie – zawołał nasz nowy kolega i pobiegliśmy za nim.

Siedzieliśmy na strychu jego domu, wyglądając ostrożnie przez małe okienko. W oddali zobaczyliśmy wojsko na koniach. Próbowałem je policzyć, ale nie dałem rady, bo z zarośli wciąż wyjeżdżali kolejni żołnierze. Jeden z nich trzymał rozwinięty sztandar. W ich stronę leciały pociski.

— Niemcy strzelają, naszym się chyba nie uda – powiedział ze smutkiem chłopak.

Ale nie miał racji. Na czele polskich żołnierzy pojawił się dowódca. Podniósł rękę, w której trzymał szablę, i wszyscy ruszyli. Nie wiem, ile to trwało. Nie wiem, ilu Polaków zginęło, ale wiem, że cały czas posuwali się do przodu!

— Nie mogę na to dłużej patrzeć! – Hanka miała łzy w oczach. – Proszę, wracajmy.

Słoń spełnił jej prośbę i po chwili mogliśmy usłyszeć głos dziadka Leny, który właśnie kończył opowiadać:

— Wyobraźcie sobie, że udało im się. Ci, którzy przeżyli tę szarżę, dotarli wkrótce do Warszawy.



Choć resztę tamtego dnia spędziliśmy na szlakach rowerowych Kampinosu, nie mogliśmy zapomnieć sceny z Wólki Węglowej. Uświadomiliśmy sobie, że wojna nie jest tylko historią z filmów i że toczyła się również tu, na Bielanach. Dopiero po tym zdarzeniu zauważyliśmy, że w wielu miejscach można znaleźć tablice poświęcone bohaterom wojennym i ludziom, którzy stracili życie.

— Przechodziłam obok tych miejsc tyle razy w drodze do szkoły, na place zabaw albo na zakupy i nigdy nie zwracałam na nie uwagi – powiedziała ze zdziwieniem Lena.

— Ja podobnie – przyznał się Michał.

— Dziś Bielany są takie miłe i spokojne. Trudno sobie wyobrazić, że kiedyś słyhać tu było wystrzały, że toczyły się walki z Niemcami i że ginęli tu nie tylko żołnierze, ale również zwykli ludzie, tacy jak my i nasze rodziny. – Hania spojrzała na mnie z przejęciem.

Odkryliśmy wtedy, że na Cmentarzu Wawrzyszewskim jest część z grobami poświęconymi żołnierzom,

którzy zginęli w 1939 roku w obronie Warszawy i że stoi tam obelisk upamiętniający ponad sześciuset żołnierzy poległych w tych walkach. W końcu trafiliśmy też na dwa pomniki, które zrobiły na nas wyjątkowe wrażenie.

Pierwszy z nich stoi przy ulicy Zgrupowania AK „Kampanos”, w pobliżu huty. Choć bardzo nam się spodobał, nie umiałbym powiedzieć, co przedstawia. Jak nam wyjaśnił dziadek Leny, jest to rzeźba abstrakcyjna i dlatego nie przypomina niczego konkretnego. Jednak kiedy się wysili wyobraźnię, można dostrzec skrzydła, lufy i fragmenty samolotu. **TEN POMNIK POSTAWIENO, ŻEBY UCZCIĆ ŻOŁNIERZY 30. PUŁKU STRZELCÓW KANIEWSKICH**, którzy 21 września 1939 roku polegli w walce o Placówkę.



— Placówka to dziś część Bielan, ale przed wojną była niedużą osadą – wyjaśnił nam pan Twardowski. – Miała tylko dziewięć ulic i trzydzieści cztery domy.

— To naprawdę była mała – zgodziła się Lena. – A co tam jest dzisiaj, dziadku?

— Kiedy w latach pięćdziesiątych stawiano Hutę Warszawska, przeznaczono na nią między innymi część terenów należących do Placówki. Teraz jest więc tylko małym kawałkiem Bielan, którego połowę zajmują różne zakłady przemysłowe. A ponieważ Placówka graniczy z Cmentarzem Północnym na Wólce Węglowej, to znajduje się tam też wiele zakładów kamieniarskich i kwiaciarni.

Na tablicy przy pomniku zauważyłem niezrozumiałe dla mnie słowa, więc zapytałem:

— Co to znaczy „**WARSZAWSKIE TERMOPILE**”?

— Termopile to miejsce, w którym starożytni Grecy starli się z Persami. A ponieważ walczyli wyjątkowo dzielnie, do dziś bitwy, w których żołnierze walczą równie odważnie, nie wahając się ginąć w obronie ojczyzny, określa się Termopilami.

— I właśnie tak było w Placówce? – dopytywała się Hanka.

— Tak, zginęło ponad sześciuset polskich żołnierzy, w tym ich dowódca, major Bronisław Kamiński. Ale tego dnia powstrzymali Niemców idących na Warszawę i ułatwili przedostanie się do stolicy innym Polakom, także tym, którzy dotarli tu z Bzury.

Poczuliśmy wzruszenie – przecież przez chwilę sami byliśmy o krok od tych wydarzeń – i umówiliśmy się, że będziemy tu przychodzić w każdą rocznicę bitwy.

Drugie miejsce pamięci, do którego na pewno będziemy wracać, znajduje się przy ulicy Papirusów. Są tam dwie mogiły bezimiennych ułanów, poległych we wrześniu 1939 roku. Obok przy małym drewnianym krzyżu powstaje kurhan z kamieni. Przynoszą je ludzie odwiedzający to miejsce, żeby upamiętnić wszystkich polskich ułanów, którzy wtedy stracili życie. Każde z nas też przyniosło po kamieniu. Dołożyliśmy je do kurhanu.

— Podoba mi się ten pomysł. To taki żyjący pomnik – powiedziała Hania. – Cały czas rośnie. Każdego dnia może być większy.

— A jego wielkość zależy od tego, czy ludzie będą nadal pamiętać o tym miejscu – dodała Lena.



Na jakiś czas poszukiwania żyrafy zeszły na dalszy plan. Tymczasem do urodzin pana Twardowskiego zostały już tylko dwa tygodnie. Znowu siedliśmy nad mapą, żeby znaleźć część Bielan, w której wcześniej nie byliśmy. W ten sposób zawędrowaliśmy pewnego dnia na Piaski.

Przechadzaliśmy się wśród bloków otoczonych zieleńią, zaglądaliśmy na place zabaw i ogrodzone osiedla, ale nic się nie działo. Słoń nie był ani odrobinę cieplejszy. Zrezygnowani ruszyliśmy na przystanek tramwajowy, gdy w końcu poczułem, że chyba się udało.

Po wypowiedzeniu zaklęcia znaleźliśmy się na ogromnym placu budowy. Otaczały nas góry piachu, za którymi było widać świeżo postawione bloki. Niedaleko z hałasem pracował wielki dźwig. Wyciągał z ziemi metalową sztangę.

— To chyba wciąż są Piaski, jak sądzicie? – upewnił się Michał, bo wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w naszych czasach.



— Tak, a ponieważ trafiliśmy na czas budowy osiedla, zakładam, że jesteście w latach siedemdziesiątych XX wieku. – Lena podzieliła się z nami swoją wiedzą.

— O, to wtedy urodzili się nasi rodzice – ucieszyłem się.

— Znow się tu kręcicie! – krzyknął za naszymi plecami jakiś mężczyzna, więc wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę.

Podchodził do nas szybkim krokiem i był wyraźnie zły. Miał roboczy strój, na głowie kask, a na nogach wielkie gumiaki.

— Przepraszam, ale jesteśmy tu pierwszy raz, chyba nas pan z kimś myli. I proszę na nas nie krzyczeć! – zwróciła mu uwagę moja siostra.

Robotnik przyjrzał się uważnie Hance, a potem nam.

— Więc to nie wy szukaliście tu przed chwilą drewnianej żyrafy?



— Nie, nie my. Na pewno – odpowiedziałem szybko i pomyślałem, że niewiele brakowało, a stanęlibyśmy twarzą w twarz z bardzo młodym dziadkiem Leny.

— A co panowie tu budują? – zagadywał Michał robotnika, widząc, że Lena wypatruje w ziemi żyrafy.

— To będzie wielkie osiedle. I wygodne. Pewnie nie wiecie, że zwykle na takich osiedlach ludzie narzekają na brak sklepów i punktów usługowych. Tu będzie inaczej. A między blokami znajdzie się jeszcze miejsce dla dzieciaków, żeby miały gdzie pobiegać.

— A o jakiej żyrafie pan mówił? – spytała Lena, ukrywając starannie, że bardzo ją ten temat interesuje.

— Był tu taki mały. Mówił, że ma na imię Jędrək, i szukał żyrafy. Niby wpadła w piasek, a bez niej nie mógł wrócić do domu. Kręcił się tutaj, potem pojawiła się jeszcze dwójka poszukiwaczy, a potem nagle zniknęli. Nie wiem, za czym węszyli. A może wy też coś ukrywacie? – zmarszczył brwi i podniósł głos.

— Nie, my nie. Pójdziemy już chyba. Do widzenia!

Dziewczyny i Michał patrzyli na mnie wyczekująco, więc przeniosłem nas w obecne czasy.

— Jak myślicie, czy poznałabym dziadka, gdybym go spotkała na tej budowie? A on? Czy poczułby, że coś nas łączy? – pytała Lena, stojąc na przystanku tramwajowym.





Kilka dni później Michał przyszedł do szkoły bardzo podekscytowany. Okazało się, że jego tata zapisał całą naszą czwórkę na wycieczkę po Hucie ArcelorMittal Warszawa. Nie mogliśmy się jej doczekać, choć wydaje mi się, że dziewczynom tak bardzo się tam nie spieszyło.

Zwiedzanie rozpoczęło się szkoleniem z bezpiecznego poruszania się po terenie huty. Musieliśmy też włożyć specjalne kaski i kamizelki.

Pierwszy raz byliśmy w takim miejscu. Wszystko było zupełnie inne, niż sobie wyobrażaliśmy, i dużo, dużo większe. Wszędzie panował huk, spowodowany przez różne maszyny.

— Czuję się jak krasnoludek! – wrzasnęła mi do ucha moja siostra, obserwując z metalowej kładki, po której chodziliśmy, ogromną kadh wypełnioną bardzo gorącą płynną stalą. Podobno jej temperatura wynosi aż 1600 stopni!

— Teraz rozumiem, dlaczego mówili nam na początku, żeby niczego nie dotykać! – odkrzyknąłem.

Dowiedzieliśmy się wielu bardzo ciekawych rzeczy, na przykład tego, że huta produkuje ponad pięćset gatunków stali, która jest wykorzystywana do produkcji samochodów, maszyn i monet oraz przy stawianiu różnych budowli, na przykład Stadionu Narodowego albo stacji drugiej linii metra.

Widzieliśmy też, jak z płynnej stali powstają przedmioty o różnych kształtach. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że tak się to robi. Gorącą stal wlewa się w specjalne formy, a potem chłodzi wodą, aż zastygnie i stanie się twarda. Można ją potem pociąć wielkim nożem na mniejsze kawałki.

— Myślałam, że zobaczymy tu pracowników, którzy łopatami wrzucają coś do wielkiego pieca. Tymczasem większość prac wykonują maszyny – dziwiła się Lena.

— Już w latach siedemdziesiątych pojawił się u nas pierwszy komputer – wyjaśniła pani, która nas oprowadzała. – Był tak duży, że zajmował prawie cały parter naszego biurowca. Ale pracy w hucie same maszyny nie wykonają – wciąż potrzebni są ludzie. Nasi pracownicy muszą umieć obsługiwać skomplikowane maszyny, muszą być nie tylko dobrze wykształceni, ale też umieć pracować w zespole i czuć odpowiedzialność za siebie i za kolegów.

Wracaliśmy z huty pełni wrażeń, wspominając to, co tam widzieliśmy. Tylko Lena była milcząca, na co zwróciłem uwagę dopiero przy pożegnaniu. Wtedy też przypomniało mi się, że urodziny jej dziadka są już za



dwa dni. Spuściłem ze wstydem głowę i tuż pod swoimi stopami zobaczyłem drewnianą żyrafę! Nie wierząc własnym oczom, podniosłem ją i podałem Lenie.

Rodzice Leny zorganizowali wielkie **PRZYJĘCIE URODZINOWE**, na które zaproszeni byliśmy także my i Michał. Całą czwórką złożyliśmy życzenia panu Twardowskiemu i wręczyliśmy starannie zapakowane zwierzątka. Naprawdę ucieszył się na ich widok, mówiąc:

— Wrócili moi przyjaciele!

I zaraz potem gdzieś zniknął. Kwadrans później rozległ się dzwonek. Wybiegliśmy do furki, za którą stali eleganccy państwo.

— Dzień dobry. Nazywam się Wanda Zimnicka, a to mój brat, Andrzej. Czy tu mieszka Franciszek Twardowski?





Do dziś nie mamy pewności, czy przyjaciele dziadka Leny zjawili się przypadkiem, czy raczej sściągnęło ich jego gorące życzenie. W każdym razie, często się teraz spotykają. A my dalej poznajemy Bielany. W pogodne dni odwiedzamy różne zakątki naszej małej ojczyzny. Kiedy pada deszcz, robimy plany kolejnych wycieczek albo siadamy przed komputerem, żeby pograć w „Misję: Bielany”, darmową grę przygodową o naszej dzielnicy. To fajnie, że mieszkamy na Bielanych!



BIELAŃSKI WEHIKUŁ CZASU

Tekst: Marta Dobrowolska-Kierył

Ilustracje: Agnieszka Korfanty

Copyright © 2016 Wydawnictwo RM

All rights reserved

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Redaktor prowadzący: Irmina Wala-Pęgierska

Redakcja: Mirosława Szymańska

Korekta: Anita Rejch

Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec

Projekt graficzny książki i okładki: Anna Jędrzejec

Redaktor techniczny: Anna Nieporęcka

Skład: Anna Jędrzejec

Druk i oprawa: Oficyna Wydawnicza READ ME – Drukarnia w Łodzi,
ul. Olechowska 85, 42 649 33 91, druk@readme.pl, http://druk.readme.pl

ISBN 978-83-7773-588-6

Książka przygotowana na zlecenie
Urzędu Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy.





BIELANY PO GODZINACH

www.bielanypogodzinach.pl



OFERTA ZAJĘĆ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. S. STASZICA
ul. Duracza 19, tel. 22 663 83 44
sekretariat@bibliotekabelanywaw.pl
www.bibliotekabelanywaw.pl



BIELAŃSKIE CENTRUM EDUKACJI KULTURALNEJ
ul. Szegedyńska 9a, tel. 22 834 52 59, 22 835 37 24
sekretariat@centrumszegedyńska9a.pl
www.centrumszegedyńska9a.pl



WWW.BOK-BIELANY.EU

**BIELAŃSKI
OŚRODEK
KULTURY**
01 - 913 Warszawa
ul. Goldoniego 1
tel. 22 834 65 47

BIELAŃSKI OŚRODEK KULTURY
www.bok-bielany.eu
ul. Goldoniego 1, tel. 22 834 65 47
sekretariat@bok-bielany.eu
ul. Estrady 112, tel. 22 835 54 44
estrady112@gmail.com



CRS Bielany
Centrum Rekreacyjno - Sportowe
miasta stołecznego Warszawy
w Dzielnicy Bielany

CENTRUM REKREACYJNO-SPORTOWE
m.st. Warszawy w Dzielnicy Bielany
biuro@crs-bielanywaw.pl
www.crs-bielanywaw.pl
Recepcja pływalni, ul. Conrada 6
tel. 22 633 86 80 wew. 101
Recepcja Kompleksu Sportowego, ul. Lindego 20
tel. 22 835 00 08 wew. 110

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY „BIELANY”



01-204 WARSZAWA, ul. CEGŁOWSKA 39

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY „BIELANY”
ul. Ceglowska 39, tel. 22 834 13 47
mdkbie@edu.um.warszawa.pl
www.mdkbielany.pl

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY
IM. MARII GWIZDAK



MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY
IM. MARII GWIZDAK
ul. Andersena 4, tel. 22 835 93 47
sekretariat@mdkandersena.pl
www.mdkandersena.pl